



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIEC.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 0.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austryackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgerbera i Spół. kwartal. 5 marek.

Ś. † P.

Joanna z Rottów Mużakowa.

„KAROLINA SWIETLA.“

D. 7 Września o godzinie 7 i pół rano zagasała czeska gwiazda pierwszej wielkości w osobie powszechnie znanej pisarki Karoliny Swietli. Właściwe jej nazwisko: Joanna Rottówna, z męża Mużakowa.

Joasia była pierworodnym dzieckiem, upragnionem, ukochanem i od powicia otoczonem szczególną troskliwością i pieczołowitością młodziutkiej matki, ojca i 38-letniej wówczas babki, którzy ją naprzemian z rąk nie spuszczały — jedynie dziadek upominał, aby dziecku użyto choć chwilę tak potrzebnego mu spokoju. Dziewczynka była niezwykle zdrowa i silna, przed rękami sama chodziła i mówiła wyraźnie a nawet śpiewała. Krewni i znajomi przychodzili podziwiać cudowne dziecko. Rozwój umysłowy postępował bardzo szybko, a pamięć miała niezwykłą. Równie prędko jak mówić nauczyła się czytać, choć jako język piśmienny narzucono jej niemiecką, do której od samego początku powzięła wstręt niepoohamowany, przekładając nad nią, wiedzona instynktem, mowę ro-

dzinną. Nie mniej jednak, nie umiejąc czytać po czesku i nie mając czeskich książek, musiała się z niemieckim językiem pogodzić. Lalek nie lubiła nigdy, za to miała upodobanie do koni i miewała ich całą kolekcję. Ale od czasu, jak zaczęła czytać, zabawki straciły dla niej wszelką wartość.

Z książek poznała świat fantastyczny, i poruszona jej wyobraźnia sama tworzyć zaczęła najpierw w formie zabawy na temat wyczytany w bajkach. Ośmioletnia Joasia bawiła się np. w Aurorę, biegając po pokoju z rozpuszczonym nad głową matczynym szalikiem, a wzięta raz do teatru na „Dziewicę Orleańską“, po powrocie do domu, wyszukała w bibliotece dziadka dzieło Schillera, nauczyła się prawie całej roli i ubrana w hełm papierowy, z proporcem, w rękę, zegnana dom rodzicielski. Z czasem sama próbowała układać własne bajki, ale skoro nauczyciel wypadkiem dostał te próby do ręki, zostały jej one surowo zakazane, a z obawy, aby z czasem nie przejęła się zbyt literaturą, całkiem przerwano jej naukę, bo już samo przypuszczenie takie przejmowało rodzinę grozą. Zabiegi te jednak nie tylko Joannie nie uchroniły od jej przeznaczenia, ale przeciwnie, dały rodzinie Rottów dwie córki literatki i to obie nieposzednich talentów: wyżej wymienioną Joannę i młodszą jej siostrę, zmarłą 17 grudnia 1897 r. ś. p. Zofię Podlipską.

Dziecinne lata Joanny przypadły w czasie największego upadku, ale zarazem i rodzającego się zmartwychwstania Czech.

Joanna mówiła tylko po czesku, starała się zdobyć do czytania czeskie książki, twierdziła ku zgorszeniu dobrze wychowanych współczesników, że język czeski jest o wiele piękniejszy niż niemiecki. Swemi upodobaniami ścigała na siebie naganę ze strony starszych i żarty młodszych. Ile z tego powodu ucier-

pała opowiada Swietla w wspomnieniach swych p. t. „Z lekcji tańca“.

Ale nie wszyscy patrzyli wtedy w Pradze na świat przez niemieckie okulary. Wypadkiem usłyszał o poglądach Joanny młody Piotr Mużak, sam dzielny patrijota, postarał się z nią zapoznać, ocenił wielkie jej serce i głęboki rozum i wkrótce ją poślubił. Odtąd przeszkody rodzinne zostały usunięte z jej drogi, oboje bowiem młodzi małżonkowie zaczęli pracować ręką w rękę nad podniesieniem swego narodu.

Po śmierci jedynej córeczki, której stratę ciężko odchorowała Swietla, całą duszą poświęciła się literaturze. Pochodząc z zamożnej mieszczańskiej rodziny, spokrewniona z ludem zaczęła go studjować, wiedziała bowiem dobrze, że podczas gdy zamożna klasa mieszczańska, obcując z Niemcami, uległa ich wpływowi i pozbyła się przez to nawet cechy narodowej, lud ją utrzymał czystą, a zarazem i niepokalany język, zwyczaje i obyczaje, wspomnienia i pamiątki przeszłości, na tle których tylko mógł się odrodzić niegdyś tak dzielny naród. Chętnie tedy przebywała między ludem, badała go, pod światłym kierunkiem męża rozszerzała zakres swej wiedzy, a następnie tak pięknie opisywała ten lud, tak głęboko pojmowała potrzebę jego podniesienia i tak wymownie przelewała ją gorącymi słowami w serca innych.

Wiedząc dobrze czem jest kobieta w rodzinie była przekonana, że bez współdziałania kobiet naród postępu nie zrobi. Jeżeli cały naród był wtedy w uspieniu, w tem głębszem były pograżone kobiety. Postanowiła tedy podnieść je pod każdym względem i wzięła się z zapalem do pracy.

Najpoważniejszym jej dziełem na tem polu było utworzenie 1871 r. stowarzyszenia „Żeński wyrobni spolek“ w celu zabezpieczenia sposobu do życia licznym wdowom i sierotom pozostawionym po żołnierzach poległych w austriacko-

pruskiej wojnie. Stowarzyszenie to utrzymuje własną rękodzielniczo-handlową szkołę, która przez czas swego istnienia wykształciła fachowo i zapewniła przez to byt 15000 kobiet.

Nie biorąc pod uwagę innych kierunków w jakich pracowała Swietła, jedno to stowarzyszenie, o którym pisałam obszerniej w №№ 25 i 26 Bluszczu, było by niepospolitą jej zasługą. Tymczasem Swietła brała prócz tego czynny udział w innych stowarzyszeniach kobiecych, których była bądź członkiem, bądź protektorką. Żadna ważna sprawa na tle patrijotycznego postępu nie obeszła się bez pomocy lub choćby rady Swietli.

Jest to praktyczna strona jej działalności, nieznaną prawie wcale szerszemu światu, który miał sposobność oceniać tylko jej dzieła w przekładach. Skromna Swietła, ani jako działaczka społeczna, ani jako utalentowana literatka sławy za granicami nie szukała, zadawałnając się serdecznym uznaniem współziomków, którzy poznawszy się na jej nieocenionej wartości, że tak powiem, na rękach ją nosili.

Co do piśmienniczej jej pracy, to Swietłę rodacy zaliczają do pierwszorzędných swych twórców, nie tylko między kobietami, ale między wszystkimi pisarzami czeskimi, a s. p. Jan Neruda porównywał ją, a nawet wyżej stawiał od Georg Sand.

Po pierwszych próbach twórczości w dziecięcym wieku, Swietła, wyszedłszy za mąż, kształciła się pod dzielnym przewodnictwem swego męża i szlachetnych uczonych jego przyjaciół z pomiędzy pierwszorzędných pracowników na niwie odrodzenia narodowego i tak dopiero usposobiona w 28 roku życia swego wypuściła w świat pierwszą swą pracę p. t. „Podwójne przebudzenie“.

Odtąd nie wypuszczając płodnego pióra z ręki, zasilala literaturę ojczystą coraz to nowymi pracami, z których do 1897 roku wyszło przeszło 116 romansów, powiastek i nowel, prócz artykułów treści filozoficznej i literatury społecznej. Między niemi są dzieła niepospolitej wartości, które zyskały uznanie nie tylko w kraju ale i u obcych, a wiele z nich tłomaczono na język polski, jak: „Kilka arkuszy z kroniki rodzinnej“, „Jeszcze kilka arkuszy z kroniki rodzinnej“, „Agnieszka Krawcówna“, „Ciotka Wawrzeńcowa“ i „Wiejski romans“ w przekładzie Bronisława Grabowskiego; małżonka zaś tegoż Marjaz Krakowskich przyswoiła nam „Krzyż nad potokiem“, „Kilka dni z życia pragskiego fanfaronu“, „Swaty“, „Kominiarz i jego dziecię“, Florentyna z Domszewskich Włoszkowa przetłumaczyła „Mędratkę“, „O świcie“ nadesłano z Syberji, prawdopodobnie przekład Henryka Krajewskiego. Prócz tych przekładali utwory Swietli: Wiktor Czajewski, Helena Kuczalska, Marja Wyslouchowa i Eryk Jachowicz.

Szkoda, że pilna i wytrwała praca Swietli na polu literackim i społecznym bywała często przerywana chorobą i ciężkimi zmartwieniami, które jej nie oszczędzały. Po śmierci ukochanej córeczki długa choroba męża wyczerpała jej siły fizyczne i moralne, przyczem sama zapadła ciężko na oczy, że nie czytać sama nie mogła. Pożycie Mużaków było osnute na wzajemnej zgodzie pragnień i poglądów, które im dalej tem silniej zadziergało łączący ich węzeł. To też śmierć ubóstwanego męża, która nastąpiła d. 8 lutego 1892 roku była dla Swietli strasznym ciosem, pozbawiającym ją na długo władzy myślenia, obawiano się serjo, aby nie powrócił dawny atak melancholji, który miała po stracie dziecka. Szczerze opłakiwała swego przyjaciela i poddała się smutkowi do tego stopnia, że zerwała prawie wszystkie stosunki i przyjmowała tylko najbliższych krewnych i przyjaciół. Chociaż nie przestawała się interesować sprawami publicznymi, ale już udziału czynnego w nich nie brała. Coraz bardziej zapadając na zdrowiu, pomimo rad lekarzy, nie chciała wydalic się z miasta, z którym ją tyle wspomnień łączyło.

Prawdziwym aniołem opiekuńczym nad wątłym ciałem, tego wielkiego ducha była jej wychowawca, siostrzenica męża, panna Agnieszka

Slukowa, która przez ostatnie lat kilka choroby ciotki zarzuciła swe pedagogiczne i literackie zajęcia i niepodzielnie oddała się pielęgnowaniu chorej. Niezwykle słodka ta istota wypełniała każde jej życzenie, zgadywała myśli, aby tylko ulżyć w cierpieniu ciała i tęsknocie ducha i była szczęśliwa, że może czuwać nad tą, która takie położyła zasługi dla kraju, a którą rodacy nazywali „Wielką pierwszą Czeszką.“

Zawsze niezmiernie skromna Swietła, często utyskiwała na brak głębszego przygotowania do pracy literackiej, nigdy nie tylko nie przeceśniała, ale zawsze niedoceniała swe utwory. W obejściu cicha, łagodna i naturalna, chwyciła za serce odrazu i zdawało się, że znasz ją oddawna, że to twoja stara przyjaciółka. A przy tej prostocie i łagodności usposobienia, genialna ta kobieta miała charakter mężki, głęboki, zmysł spostrzegawczy i krytyczny niezmiernie rozwinięty. W jej postaciach ludowych wykazany jest prawy czeski charakter, zamiłowanie prawdy, upór wyrodzony na tle krzywd narodowych, skłonność do ofiar dla prawdy i dobra społecznego. Jej ideą przewodnią było, aby jednostka poświęcała się za większość a osiągnięcie szczęścia dla ludu czeskiego uważała za najwyższy cel w życiu każdego Czecha.

Natchniona wytrwale walczyła przeciw panującym przesądom towarzyskim, które potępiały kobietę domagającą się równouprawnienia, lecz zarazem serdecznie i stanowczo upominała kobiety i wzywała do wielkich obowiązków, jakie mają do spełnienia w życiu zagrożonego narodu, stając się zarazem ich doradczynią i pomocnicą dla wszystkich szukających wiedzy i pracy.

1890 roku, gdy przypadły 60 urodziny Swietli obchodzone je w całych Czechach niezwykłe uroczyscie. Jedne za drugimi schodziły się deputacje od różnych stowarzyszeń, szkół i t. p. do niewielkiego z trzech pokojów składającego się mieszkania Swietli, z życzeniami doczekania obfitych owoców z jej pracy. Z pomiędzy nich najbardziej wyróżniła się deputacja z okolic rodzinnej wioski Piotra Mużaka „Swietli“, którą to nazwę przyjęła sobie Joanna za pseudonim. Deputacja ta przywiozła adres ze stu sąsiednich wsi zebrany, podpisany przez 2,500 kobiet. Prócz tego nadesłano ze wszystkich krańców kraju i za granicy depesze, listy, pamiątkowe dary na cele dobroczynne, a całe mieszkanie zasypano literalnie kwiatami.

W ostatnich latach choroba Swietli robiła szybkie postępy, w końcu już nie opuszczała łóżka. Wigilię śmierci przepędziła pogrążona w sennosci, z której zbudził ją śpiew. To dzieci szkolne z gór Szumowskich przybyłe do Pragi na wycieczkę uczoily ją hymnem „Kde domow muj“ zaśpiewanym pod jej oknami. Swietła otworzyła oczy i spytała siostrzenicy, co to znaczy, a usłyszawszy objaśnienie, uśmiechnęła się i znowu zasnęła snem błogim, z którego nie przebudziła się więcej. Wdzięczność młodzieńskich serc to było ostatnie wrażenie, a może i najmiłsze jakiego zacy jej duch doznał w życiu. Było to godne pożegnanie wedle zasług.

Oto co o charakterze i działalności Swietli mówi godna jej przyjaciółka, a zarazem czeicielek Eliza Krasnohorska.

Wielki duch jej, rozległa wiedza, żelazna wola i złote serce bez spoczynku pracowały na niwie literackiej, w ruchu społecznym, w kwestyi kobiecej i kierunku patrijotycznym. Kto znał Swietłę z tym płomiennym zapałem, energję gotową kruszyć skały, gorączkowo czynną bez względu na owe nadwątlone siły, jak zwykle szybko pokonywała najtrudniejsze zadania swym niepospolitym talentem, ten dopiero może ocenić, jak wielka suma pracy zawierala się w tem pięknem długim życiu, tej niepospolicie doskonałej kobiety, którą otaczaliśmy takim szacunkiem, że nie mogliśmy się szczerzej i głębiej jej kłaniać, gdyby los jej przeznaczył miejsce na tronie.

Życie jej tak było pełne wewnętrznej godności, że starczyłoby ono nadziesiąciu sławnych ludzi. Czula ona, myślała i bolała w zaciszu swem tyle, że wrażeniami temi obdzielić mo-

żnaby kilka osób niepowszedniej wagi, bo ona żyła, bolała i cieszyła się, marzyła i zgłębiała, kochała i oburzała się razem ze swemi bohaterami. Była to kobieta szczególnego typu, pełna zapału, walcząca za ideę, kobieta tego rodzaju jak były dawne Czeszki, które za wiarę i przekonania wyrzekały się nie tylko klejnotów i majątku, ale składały na ofiarę krew i łyż, miłość i życie dzieci, opuszczały dom rodzinny a nawet ukochaną ojczyznę.

To też Swietła w swych dziewczęcych przedstawiała szereg takich kobiecych postaci, z których każda mogłaby być zaliczona do czeskich bohaterok XV-go stulecia, lub męczennic XVII-go wieku. Zbadała i znakomicie odtworzyła kobiety, ale równie bez zarzutu są jej postaci ludowe. Przedstawiając charakter Czeszek dzielny i energiczny nie pochlebiała im znowu, bo obok zalet cytowała i wady, szukała ich przyczyn i wskazywała na nie lekarstwo.

Uwagi swe E. Krasnohorska kończy następująco:

Wszystko cokolwiek uczyniono na polu postępu kobiet w Czechach, wiąże się z imieniem i działalnością Swietli jak potok ze źródłem, jak dzieło z ręką szlachetną i rozumną, która je czarownie wytworzyła błogosławioną swą pracą.

Do ostatniej chwili Swietła stała na czele wszelkich przedsięwzięć postępu w każdym kierunku, do ostatka była świeżym czynnym umysłem i dzielnym naszym wodzem, a to co nam w sercach pała są hasła, które nam ona ze swego serca wszczepiła. Co tylko dobrego i pożytecznego na roli postępu kobiet czeskich się przyjęło, zapuściło korzenie i wybujało, jest przedewszystkiem jej zasługą, za którą należy się od nas głęboka wdzięczność, gdyż jest to albo jej dzieło, albo odrośl tego dzieła, są to pączki, kwiaty i owoce z pnia ducha i serca Karoliny Swietli.

Antoszk.

Przerwana pieśń.

ELEGJA.

Burz minionych grzmia pioruny,
Płonie ścierpła krew,
Jęczą serca zdarte struny
Swój łabędzi śpiew

Zapomniany się odzywa
Tęsknych marzeń chór,
Brzęczą zżarte rdzą ogniwa,
Szumi wspomnień bór.

I zamglone pieści oczy
Tysiąc jasnych barw,
W hymn podniosły się jednoczy
Dźwięk tysiąca harf.

Nieziszczonych pragnień płonie
Z głuchym trzaskiem stos,
I przez dźwięków, barw symfonję
Tajemniczy głos

Splywa luby, słodki, znany
W serca zimny głaz —
Rozwarły się stare rany
Lecz — ostatni raz.

Znów rozbrzmiewa pieśń natchniona
Tysiącami ech,
Lecz ze zbolełego tonu
Czczy wydziera śmiech.

Płynie wspomnień potok wartki
W niedościgłą dal,
I zostaną—puste kartki,
Niemoc, rozpacz, żal...

W proch i gruzy się rozpada
Złudzeń dumny gmach,
Rzeczywistość tonie blada
W goryczy i łzach,

Zawarły się wspomnień groby,
Serce zjada pleśń,
Tylko pełna skarg, żaloby,
Brzmi przerwana pieśń...

Stan. P.

BEZ TYTUŁU.

Powieść współczesna

przez

Stanisława Ostrowskiego.

(Dalszy ciąg).

Zatrzymał się i odwróciwszy się ujrzał przed sobą tęgą postać wysokiego i barczystego mężczyzny, w żółtej „sławuckiej“ burce i ciemnym kapeluszu.

— Ach, to wuj! — zawołał i począł serdecznie się witać z przybyłym, który nawzajem mocno wyściskał go i wycałował.

— Nie wiedziałem, że wuj w Warszawie. Czy oddawna?

— Przyjechałem tu południowym pociągiem. A cóż ty tu porabiasz? Widzę, że zrzuciłeś już mundur studencki, — mówił tamten, oglądając postać Władysława, przybraną w nowy garnitur cywilny — wyglądasz jak prawdziwy „gog“ miejski i gdzieś zawracasz tu pewnie głowy pannom, co? prawda?

— Wuj zawsze z żartami — odrzekł śmiejąc się Władysław. — Ukończyłem już uniwersytet i po wakacjach, spędzonych w domu, przyjechałem do Warszawy po pracę.

— A wiem, żeś był w Kamionce. Mieliliśmy przed miesiącem list od twojej matki. Ja tu — dodał po chwili — zabawię dni parę, bo mam mnóstwo interesów. Stoję w Hotelu Saskim, przyjdź do mnie jutro przed dziewiątą zrana, będę cię czekał. A może będziesz dziś wieczorem u Wróbla, to się spotkamy, bo zajdę tam co przetrącić.

Władysław zawahał się chwilę:

— Mam dziś nieco zajęcia... Zajdę do Wuja jutro zrana.

— Jak wolisz. Teraz muszę śpieszyć na Miódową, do składu maszyn, a stamtąd jeszcze do paru miejsc. No, do widzenia.

Uściskali się znów mocno, i po chwili żółta burka znikła w zmięczeniu alei.

Władysław zaś, idąc ku domowi, szczerze był uradowany ze spotkania. Był to właściwie nie wuj, lecz mąż rodzonej jego ciotki, mieszkający niegdyś na Podolu w niedalekiem sąsiedztwie z rodzicami Władysława, który od dziecka przywykł nazywać go wujem, chociaż pan Marcin często żartobliwie poprawiał go, mówiąc, że powinien nazywać go raczej „naciotnikiem“. Obecnie od lat kilku mieszkał w królestwie, odwiedzał też od czasu do czasu Warszawę i za każdą bytnością widywał się z Władysławem, gdy ten był jeszcze studentem. Przypomniawszy sobie teraz Władysława, jak podczas tych odwiedzin wuj Marcin, nawykły do rannego przez całe życie na wsi wstawania, wpadał często do jego pomieszkania o ósmej i widząc go naturalnie jeszcze w łóżku, oburzał się i wymyślał na

ospalstwo i zniechęcałość młodszego pokolenia. Bywało nieraz, że to gderanie porządnie uprzykrzyło się Władysławowi, ale teraz to wspomnienie było dlań tylko miłym.

Wahał się nawet wieczorem, czy nie pójść do Wróbla, aby spędzić godzinę na rozmowie z wujem Marcinem, ale w końcu postanowił poczekać do jutra.

Nazajutrz wstał nawet wcześniej, niż zwykle i w parę minut po dziewiątej pukał już do numeru.

Wuja zastał już ubranym; kończył właśnie śniadanie. Po powitaniu, począł mu opowiadać, ile to interesów już załatwił przez dzień wczorajszy i ile jeszcze pozostaje mu na dzisiaj. Czuł się nieco zmęczony po podróży, z tem wszystkim jednak czynny był i ruchliwy. Lubił się też tem popisywać.

— Oto jak człowiek pracuje — mówił z głębokim westchnieniem — nie tak, jak wy — mieszczuchy — co to do południa się wysypiacie, posiedzicie parę godzin w biurze, a potem stękanie do nocy, że was krzyże bołą. A tu człowiek, panie, na wsi pracuje jak wół, o świecie już na nogach, sam wszędzie zajrzy, wszystkiego dopatry i w prawdziwym czola pocie pożywa ten swój kęs chleba powszedni. A jak zdarzy się wpaść do Warszawy, to się tak nabiegam, że nóg wprost nie czuję ze zmęczenia. No te wasze bruki, panie, — daj je katul...

— Wuj wszędzie pieszo chodzi?

— A cóż? będę rozbijał się waszemi dryndami? Właśnie mi stać na to, abym po parę rubli dziennie przejeżdżał! A te tramwaje, to czysta mitręga! Trzeba mi było wczoraj na plac Św. Aleksandra, a że było pilno, więc wsiadam, panie, tuż przed hotelem do tramwaju. Z początku jedziemy jak należy, wprost Krakowskim-Przedmieściem, a wtem — ni ztąd ni z owąd — zwraca w prawo gdzieś na Królewską.

Wolam więc: czekaj! nie tędy! Aż tu dopiero konduktor mi tłumaczy, że trzeba było wsiąść do białego tramwaju, bo ten idzie na Marszałkowską... Cóż to u licha — mówię mu — czy mam pamiętać wszystkie wasze kolory i sygnały? Właśnie nie mam innych kłopotów na głowie!

Tu odsapnął, dopił kawy ze szklanki i zwrócił się do Władysława.

— Cóż ty tu porabiasz? Masz już jaką posadę?

— Jeszcze nie, ale mam z Podola listy do adwokata Bronickiego; może uda mi się zostać przy nim dependentem.

— Bronicki? Nie słyszałem nic o nim.

— A jednak ma to być jeden z lepszych adwokatów w Warszawie.

— Lepiej może drze ze skóry od innych. Zresztą wszyscy oni co do tego jednakowi. Ja tu wyjątkowo trafiłem przed kilku laty na człowieka istotnie uczciwego, któremu odtąd stale powierzam sprawy. Nazywa się Żarski. Nie jest to żadna znakomitość, ale interesa prowadzi mi dobrze i jest przede wszystkim człowiekiem nieposzlakowanej uczciwości, któremu mogę śmiało zaufać.

— Ma wuj zawsze dużo interesów?

— A no, nie swoich, nie swoich... Hrabia zdał całą administrację na mnie i nie mieszka się wcale do spraw żadnych. Powiadam ci, haruję, jak ten pies i plenipotentem jestem, i rządcą i niemalekonomem, bo że to nie lubię, panie, na nikogo się spuszczać, więc sam doglądam wszystkiego: O piątej już jestem na koniu w polu.

Powiadam ci, że wy nie macie tu wyobrażenia o takiej pracy.

— Ej, proszę Wuja — odezwał się Władysław w obronie mieszczuchów — i tu ludzie pracują nielekkko, a kto musi, to nieraz nie doje i nie dośpi.

— Ale to nie to, nie to — co na wsi! — Przerwał pan Marcin. — Znam przecież miasto i wiem, co są warci mieszczuchy: powiadam ci wszystko to są ospalecy, leniwy i niewieściuchy. A wierz mi, bo mówię z doświadczenia jako człowiek stary — tyle tylko wart człowiek, na ile wysiłku się zdobędzie, ile w życiu pracuje i robi.

— Patrz na mnie — dodał po chwili — nie chwaleb się, ale mówię tak, jak jest: czym w życiu spo-

czął kiedy choć chwilę lub czym kiedy ręce bezczynnie opuścił? Bóg widzi — nigdy!

— Młodym chłopcem jeszcze, ledwie ze szkoły wyszedł, osiadłem na kawałku swej roli i zacząłem pomagać matce, sam nieraz przykładając rękę do pługa, bo sam wiesz, szmat to ziemi niewielki, a długów na nim było po uszy. Ledwie że trochę zagospodarowałem się, poznałem twoją ciotkę, pokochałem ją i chciałem się zenić, — w tem na miesiąc przed ślubem pożar wybuchł na toku i spalił mi wszystko do szczętu.

Nie było nie tylko co sprzedawać, ale nawet ziarna nie pozostało na zasiew. Byłem zrujnowany. Wówczas to po raz pierwszy ręce mi opadły na jedną chwilę, lecz zaraz w następnej powiedziałem sobie: Nie masz z czem gospodarzyć na własnej ziemi, więc ruszaj służyć na cudzej. Rzekłem tak i uczyniłem. Mając ręce zdrowe i głowę na karku zawsze można na chleb zapracować; wyszukałem sobie posadę rządcy tu w królestwie, z początku na jednym folwarku, a potem na kilku. W rok później ożeniłem się z twoją ciotką, która nie wahała się wyjść za prostego rządcę i odtąd pracujemy oboje na cudzem wprawdzie, lecz co roku coś się odkłada i oczyszcza po trochu swój własny mająteczek. Jeszcze da Bóg trzy lata tej pracy, a będziemy mogli powrócić do swojej Hrehorówki i będziemy tam już mieli pewny kęs szlacheckiego chleba.

Tak to on opowiadał koleje swego pracowitego i czynnego żywota, a Władysław nie przerywał mu i słuchał w milczeniu, czując bezwiedny podziw dla jego energii i hartu. Lubił przysłuchiwać się takim jego słowom, albowiem było od nich coś ogromnie męskiego i prostego, jak-kaś żywotność, która udzielała się zaraz Władysławowi, krzepiała go i napełniała mu serce jakąś otuchą. Nabierał wówczas sam chęci do pracy i czuł jakby przyływ sił własnych. Garnął się więc zawsze chętnie do takich natur silnych i prostych, albowiem obcowanie z niemi szło mu zawsze ogromnie na korzyść; na pokrzepienie.

To też i teraz, pod wpływem tego wrażenia, począł rwać się ku jakiejś pracy, chociażby najzwyczajniejszej i najcięższej, byle tylko wyrwać się już raz z tej przymusowej bezczynności. Nie mniejszą też pobudką była myśl o tem, jak to Zosia się uraduje, gdy się dowie, że on szczerze jął się pracy i że już coś robi dla wspólnej ich przyszłości i szczęścia. Pod wpływem tej myśli i tego pragnienia zaczął częściej dowiadywać się, czy nie powrócił wreszcie do Warszawy adwokat Bronicki i oto — gdy raz dzwonił do jego mieszkania, służący mu oznajmił, że pan już powrócił.

Z bijącym mocno sercem wszedł Władysław do gabinetu mecenasa, gdzie zastał siedzącego przy biurku mężczyznę lat średnich, małego wzrostu i już łysawego nieco. Zaprezentował się — podał mu listy — i z pewnym niepokojem zaczął śledzić wzrokiem nieco chmurny wyraz twarzy mecenasa.

Lecz ta — w miarę przebiegania oczyma listu — wyjaśniała się i rozpogadzała, aż w końcu pan mecenas złożył kartkę i podając powtórnie rękę Władysławowi, rzekł z grzecznym uśmiechem:

— Bardzo mi miło poznać pana. Niechże pan będzie łaskaw siada — pogadamy ze sobą.

Sam mu przysunął fotelik, usiadł naprzeciw i począł mówić prędkim, przyciszonym nieco głosem:

— Więc rodzice pana posiadają na Podolu dobra, a pan pragnąłby zapoznać się bliżej z adwokaturą? Chwałę, bardzo chwałę zamiar kolegi, i z mojej strony ile się da, przyczynię się do ułatwienia mu jego przedsięwzięcia i chętnie będę służył wskazówkami i radą. Roboty mam teraz pełne ręce, więc nawzajem pomoc pańska bardzo mi się przyda. Zresztą — niech się pan nie lęka pracowania — nie obarczaj pana zajęciem nad miarę, bo wiem, że młody człowiek potrzebuje nieraz rozerwać się i zabawić.

— O, proszę pana Mecenas — odpowiedział Władysław z uśmiechem — pracowania się nie lękam, właśnie przeciwnie, chodzi mi o to,

abym miał dosyć zajęcia, a nie nazbyt dużo wolnego czasu. Kiedyż będę mógł zacząć korzystać z łaskawego kierownictwa szanownego pana Mecenas?

— Choćby od jutra. Lepiej powoli, lecz odrazu; tembardziej, że widzę, że kolega sam się już rwie do pracy. Zapewne, jako niestały mieszkaniec Warszawy, nie wiele ma pan domów znajomych, gdzieby można było zabawić się czasem i potańczyć? Wszak prawda? U nas zbiera się młodzież co czwartek, będzie więc nam bardzo przyjemnie widywać pana u siebie. Proszę—bardzo proszę!

Ścisnął rękę Władysława i odprowadził go aż do przedpokoju.

— Jakiś bardzo ugrzeczniony facet — myślał Władysław, idąc szybko ku domowi. Czuł się tą grzecznością ujętym. Lecz jeszcze bardziej radowała go myśl, że ma już wreszcie jakieś zajęcie, że już uczynił pierwszy krok, wiodący ku pożądanej przyszłości. Szedł więc śpiesznie do domu, aby natychmiast podzielić się z Zosią pomysłą nowiną. Wysłał był wprawdzie do niej list przed paru dniami, lecz gotów był pisać chociażby codziennie, albowiem chwile, spędzone na tej z nią rozmowie, napędzały mu serce spokojem i cichym rozrzwinięciem, bliskiem do szczęścia.

Tymczasem zabrał się do pracy z wielką otuchą i upragnieniem, chociaż na razie zajęcia w istocie miał nie wiele. Mecenas zawsze był względem niego nadzwyczaj uprzejmy i względny, a w najbliższy czwartek żegnając się z nim, przypomniał, że to jest dzień zebrania i że spodziewa się widzieć go u siebie wieczorem.

Władysław, który przez te kilka tygodni żył niemal odludkiem, postanowił skorzystać z zaproszenia i o dziewiątej dzwonił do drzwi państwa Bronickich.

Zdejmując palto w przedpokoju, zauważył, że w przybyłym salonie, zamiast liczego zebrania, jakie spodziewał się zastać, było kilka tylko osób. Pomyślał więc, że pewnie zawczasie przyszedł, ale cofać się już było nie podobna, tembardziej, że sposprzężł go gospodarz, wyszedł na powitanie i następnie począł go przedstawiać żonie, córce i gościom.

Pani Bronicka powitała go nader uprzejmie i rozpoczęła z nim dłuższą rozmowę, w której wypytywała go o stosunki towarzyskie na wsi, o sąsiadów, dawnych znajomych jej męża, potem o jego znajomości warszawskie. Władysław starał się być również rozmownym i ożywionym, lecz nagle przypomniała mu się niewiadomo dlaczego rozmowa jego z panią Rostworowską przy pierwszych odwiedzinach w Orzeszkowcach, — i schwylił go naraz jakiś dziwny smutek i cicha tęsknota do tamtych ludzi i stron, a tu uczył się ogromnie obcy wszystkim i duchowo osamotniony. Uczucie to spotęgowało się jeszcze bardziej, gdy panna Klara, córka gospodarzy, wysoka i szczupła brunetka, na prośbę młodzieży usiadła do fortepianu i zaczęła grać jakiegoś modnego walca do słuchania. Grała z wielką biegłością i wprawą, otoczona półkołem słuchaczy, przyjmując z obojętnym na ustach uśmiechem oklaski młodzieży — a jemu zadźwięczała w duszy jakaś inna, rzewna melodia i stanęła naraz jak żywa postać Zosi, jaką widział nieraz, gdy mu grała dumki Zawadzkiego albo urywki z „Halki.“ Więc porwała go za serce taka nieukojona tęsknota do tej ukochanej postaci dziewczęcej, taki głęboki żal za nią, — że byłby się w tej chwili wyrwał, gdyby mógł, z tego salonu i uciekł gdzie wstępy.

Wszakże — nie chcąc uchodzić za odludka — przemógł się i, gdy panna Klara wstała od fortepianu, podszedł ku niej, aby podziękować za grę i powiedzieć parę zdawkowych komplementów.

A ona zaczęła z nim zaraz rozmowę, dość ożywioną i dowcipną, aby zmusić go do odpowiedzi w takimże tonie. Starał się więc utrzymać rozmowę wesołą i ciętą aż do końca, czuł jednak przytem przymus wielki i odetchnął pełną pierś dopiero na ulicy.

W kilka dni potem powracał Władysław z przechadzki wieczornej do domu, gdy na rogu

ulicy spotkał się twarz w twarz z Wacławem Rokickim. Koledzy uściskali się serdecznie.

— Powróciłeś do Warszawy? pytał Wacław. Tak jest. Pracuję u mecenas Bronickiego. Jestem już w Warszawie od miesiąca, ale dotąd jeszcze nikogo z naszych nie spotkał.

— Przychodźcie wieczorami do nas; będziemy ci oboje z żoną radzi. Zresztą bywają u nas prawie wszyscy koledzy, którzy pozostali w Warszawie, więc spotkasz się z nimi.

Tu podał swój adres.

— Przyjdę. A któż z naszych stale zamieszkał w Warszawie?

— Jest tu Henryk Bogacki, jest Zdziś, jest Karwacki, Lepko, Różycki. Spotkałem przed paru dniami także Owruckiego, ale ten podobno wkrótce wyjeżdża.

— Co? Stach jest w Warszawie? Byłem przed tygodniem w jego mieszkaniu, i powiedziano mi, że niewiadomo, kiedy powróci. I mówisz, że znów wyjeżdża?

— Tak, podobno do Brazylii.

— Do Brazylii? Nie może być! Po co?

— Albo ja wiem! Tak mi przynajmniej sam mówił.

Władysław, szybko pożegnawszy się z Wacławem, udał się natychmiast do mieszkania przyjaciela, ale go w domu nie zastał. Zostawił więc tylko kartkę w której zawiadomił go, aby nań czekał nazajutrz po południu, oraz podał swój adres. Ucieszył się wielce z przyjazdu kolegi ale dziwił go zamiar jego podróży do Ameryki.

Czekał więc z niecierpliwością następnego południa, wyszedł nieco wcześniej, niż zwykle od adwokata i w kilka minut był już na Hożej.

Stanisław oczekiwał go już od godziny. Otwarli sobie nawzajem ramiona i uściskali się szczerze i mocno.

— Gdzieżeś dotąd przepadał? — wypytywał Władysław — znikąd nie mogłem dostać żadnej wieści o tobie. Zachodziłem tu parę razy, ale i tu niewiele się dowiedziałem, i dopiero wczoraj wypadkiem usłyszałem, że jesteś już w Warszawie.

— Przyjechałem przed kilku dniami.

— Pysnie wyglądasz! — mówił dalej Władysław, oglądając przyjaciela, który od czasu ostatniego ich widzenia się zmężniał i opalił się znacznie. Dostrzegł przytem jednak, że ma twarz zmienioną i jakiś dziwny na niej wyraz ukrywanego smutku czy cierpienia.

— Oóż się z tobą przez ten czas działo, Stachu? Mówże, opowiadaj! Czy to prawda, że zamysłasz jechać do Brazylii? — zapytał nagle, przypomniawszy sobie tę wiadomość. — Mówił mi o tem Wacław, ale nie chciałem mu wierzyć.

— Tak jest, Władku, jadę — odpowiedział młodzieniec.

— Skądże ci to nagle przyszło? Pytał dalej zdziwiony Władysław. Nigdy, o ile wiem, nie miałeś podobnego zamiaru. Czy cię tak nęci ocean? Nie jesteś przecież marynistą i dla swoich obrazów masz chyba dosyć naszych stepów i jarów. Wiesz, Stachu, że nie mogę zrozumieć oryginalnej twej chęci. Prędko — że powrócisz?

— Może za lat kilka, a może .. później — odrzekł tamten przytłumionym nieco głosem.

Twarz Władysława przeciągnęła się z coraz większego zdziwienia.

— Jakto? Wyjeżdżasz na kilka lat z kraju? Stachu! to nie może być!... A twoja tęsknota do rodzinnych kresów? a twoja praca? A... ona?...

A ów machnął ręką jakimś gwałtownym ruchem i spojrzął przed siebie gdzieś w dal:

— Już nie moja!... rzekł głuchym głosem, w którym coś zadrażało, niby tłumiony, jęk i zaraz rzucił głową, tak że płowa jego czupryna rozwichrzyła się i spadła mu na oczy, i zaczął ręką przesuwając po czole, chwytając przy tem powietrze pełną pierśią, jakgdyby mu zabrakło w niej tchu.

Władysław patrzył na niego chwilę w milczeniu, aż począł pytać niespokojnie.

— Stachu! Na Boga, — co się stało? Mówże!... Opowiedz mi wszystko!...

A tamten począł chodzić po pokoju szerokimi krokami, milcząc i trąc tylko gwałtownie

dłonią czoło. Widać było, że zmagają się i pasuje z jakimś wielkim bólem, który lada chwila może wybuchnąć mu z piersi.

Aż, gdy się zmógł, stanął przed Władysławem i począł mówić gwałtownym, gorzko — ironicznym tonem:

— Pytasz się, co się stało? Ha, nic nadzwyczajnego! Stała się rzecz bardzo zwykła... ale dla mnie był to piorun, który zdruzgotał we mnie wszystko, czem żyłem — moje szczęście — mój zapal — mają wiara — wszystko!... Czy ty to rozumiesz — mówił, przystępując bliżej do Władysława i patrząc mu w twarz dziwnie płonącymi oczyma — że w jednej chwili to, czem żyłem dotąd przez lat tyle, — to, w co przywykłem wierzyć i czcić, jak świętość jaką, wszystkie moje sny szczęścia, cały mój młodzieńczy ideał, cała moja wiara w prawdę i szlachetność serc ludzkich — wszystko to mi zdeптano — pokruszono — zepchnięto w proch i w nicość — zostawiając mi w duszy próżnię — i noc — i rozpacz — i ból, ból piekielny, o jakim nie masz pojęcia i obys nie zaznał go nigdy!... Straciłem wszelką wiara w życie, wszelki cel i wszelką oporę — i nie mam nic — co by mię pogodziło z życiem i chęć do niego wróciło i wiem, że mi znikąd już to nie przyjdzie!...

Władysław, zaskoczony nagle tym wybuchem bólu i rozpacz przyjaciele, milczał i nie wiedział na razie, co mówić — ten zaś jął znowu chodzić wielkimi krokami po pokoju, aż uspokoiwszy się nieco, stanął przed Władysławem i mówił dalej równiejszym już głosem.

— Opowiem ci wszystko, po porządku. Ty wiesz, czem była jej miłość dla mnie, jakim słońcem w życiu, a zarazem chlebem powszednim, który mi na każdy dzień dodawał sił i wiary w życie, karmił i krzepił ducha i serce... Wiesz — byliśmy zaręczeni i tylko musiałem ustalić tu sobie stanowisko, i zaraz nastąpić miał ślub... Tą wiosną — wiesz — praca lat kilku zaczęła mi już przynosić swe owoce, znalazłem nabywców na rozpoczęte obrazy, wystawiono nawet mego „Dida“ — więc widziałam się już u wrót tego raj, do którego wprowadzić mię miała ona — najpożądniejsza zarazem i uwielbiona całą duszą moją!...

Nagle — było to w Marcu — otrzymuję od niej list, w którym zaklina mnie na wszystko — na miłość naszą, — abym nie przyjeżdżał teraz do nich — o nic ją nie pytał, bo nic mi odpowiedzieć teraz nie może, a wreszcie — abym czekał... Pojmujesz? — dodał z gorzkim, ironicznym uśmiechem — abym czekał cierpliwie — wówczas, — gdy mi tęsknota do niej rozsadzała pierś, a niepokój szalony i trwoga, że mogę ją utracić, szarpała mi serce... Życie w takich warunkach było jedną męką niepewności i bólu, a ona żądała, abym się męczył tak w dzień i w noc każdą, przebywał co chwila niewypowiedziane katusze udręczeń — i czekał cierpliwie!... Wkońcu stało się to wprost dłużej niemożliwym..

Rzuciłem zaczęłą robotę, plunąłem na moje obrazy — i uciekłem na kresy... Wziąłem do ręki kij podróży i przeszedłem pieszo cały kraj — wiorst setki — wzdłuż Dniepru — aż za Porohy..

Tak szedłem — niby jaki wygnaniec wśród pól rodzinnych — poddając się z rozkoszą wszelkim trudom i niewczasom tej podróży, bo zmęczenie fizyczne tłumilo nieco serdeczną mękę... Przeszedłem tuż obok nich — tak blisko, że gdyby wbiegła podówczas na wzgórze — dostrzegłaby mnie i poznała... Serce skowyczało mi z tęsknoty — a jednak, pomny na jej wolę, zmogłem się, nie zatrzymałem się ani na chwilę — i minąłem tamte strony..

Tu zatrzymał się na chwilę, odetchnął parę razy z głębi piersi, jakby mu znów brakło oddechu — i mówił po chwili:

— Po trzech miesiącach wróciłem tu i zaraz wysłałem list do niej — powiadając, gdzie był i przekładając jej serdeczną mękę moją, myśląc, że może przynajmniej wdzięczną mi będzie, że mam zadość uczynił jej żądaniu, że nie wstąpił do nich... Czekałem listu, jak wyroku... Przeszedł — aby powiedzieć, że już nie kochany — że to wszystko — a więc jej zapewnienia — i lzy —

i moja w nią wiara — było tylko złudzeniem i snem, który się już przesnił... Rzecz zwykła i nienadzwyczajna wcale, nieprawdaż?...

A jednak mnie wydała się nie do wiary, — więc jak stałem — poleciałem na kolej i popędziłem znów w tamtę stronę. Stało się, że miałem spotkanie ją w kościele. Nie widziałem jej już prawie rok — więc pojdziesz, ile mi się w sercu nabrało nieodpartej tęsknoty ku niej i tklivości — gdy za chwilę miałem ją ujrzeć... Wszakże rozstaliśmy się po raz ostatni wśród serdecznych łez — i przysiąg — i zapewnień...

Weszła — i spostrzegłszy mnie — chciała się cofnąć... lecz już było zapóźno. Przeszła więc tuż obok mnie — zimna i obojętna — nie spojrzawszy na mnie — nie skłoniwszy nawet głową... A ja stałem — czując, że mi serce chwyta jakiś straszny, rozdzierający ból — i że sam kamienieję w tym bólu i staję się martwy — jak lód... I patrzyłem na nią, myśląc — czyż to w istocie ona, jeszcze wczoraj moja umiłowana i serdeczna — drżąca i słodka — cicha — czym się omylił, to nie ona?

Bo gdyby na mój widok zbladła i zadrżała, gdyby spłonęła lub się wzruszyła choć w pierwszej chwili... ale tak rozdzierać komuś serce i zdeptać szczęście, a mieć przytem taką twarz zmrozoną — obojętną i spokojną — i tak na zimno przygotować komuś taką okrutną katuszę — ha! na to się zdobędzie chyba tylko kobiece serce!...

Tu ból zatargał widocznie znów jego piersią ze zdwojoną siłą, bo głos mu uwiązł w słumionem gardle i począł oddychać gwałtownie. Lecz się opanował znowu — i po chwili znów mówić począł:

— Dosyć było tego widoku, abym wiedział, co mam myśleć... Wszakże, postanowiłem, że bez ostatecznej z nią rozmowy nie odejdę. Ona miała oczy suche — i ja także. Byłem już zupełnie spokojny. Prosiłem, by mi podała powody zerwania. Najlepszy był powód ostatni:

Oto mówiła — że ja — jako artysta — może... nie mam dość męskiego i stanowczego charakteru... Pyszne! nieprawdaż!...

Tu wybuchnął jakimś gwałtownym przerywanym śmiechem, na jaki może się zdobyć ból i dzika rozpacz wówczas, gdy lzy już nie dają ukojenia i ulgi.

Dla Władysława widok tej męczarni przyjaciela, którego kochał serdecznie, był wprost udęcający. Podszedł więc ku niemu, ujął go za rękę i począł go, jak mógł, uspokajać i pocieszać. Przypomniawszy mu jego dążności młodzieńcze, jego talent i sławę, którą może z czasem pozyskać, jego wreszcie lata młode, które czynią jeszcze możliwym jego szczęście i inną miłość w przyszłości.

Stanisław, uspokoił się z wolna, pozwolił mu mówić, ale przy ostatnich jego słowach, wtrząsnął głowę i rzekł i smutnym głosem:

— Hej! jedno tu tylko życie i jedno kochanie! Władku, czyż nie znasz mnie? Ja w tę miłość włożyłem zanadto dużo, całą swą duszę i całą swoją wiarę w serca ludzkie — więc gdy mnie to zawiodło, nie pozostało mi już nic, w czym mógł tu uwierzyć albo co ukochać... Bóg z nią!... Ty wiesz, jakim ja byłem zawsze od ludzkim, jak obcy ludziom i jak samotny na świecie... Oni jedni pogodzili mnie z ludźmi i ze światem, nauczyli mnie wierzyć ludziom, ich jedyny dom był dla mnie niby przystanią pewną wśród życia, a jej serce jedynym skarbem, którym w życiu znalazł i posiadał... Więc wierzyłem im i kochałem — a przez nich kochałem świat cały... A teraz co? Jeżeli to mnie zawiodło, — komuż zaufać i czemu zawierzyć, albo co pokochać mogę?

Więc wiem, że już odtąd przedemną tylko pustka — i ból — i noc — i tak na dzień każdy — aż do końca!...

Mówił te słowa głosem już spokojnym, z coraz większym smutkiem i rozrzewnieniem.

A Władysław go znał, więc wiedział, że mówił szczerze i że żadne pocieszenie tu już nie pomoże.

Lecz tamtemu tymczasem coś znów zaczęło piers rozpierać i podnosić, więc wstrząsnął bujną, jasną czupryną, która spadała mu na czoło — i rzekł:

— Hej! gdyby tak dawne czasy!... Zbiegłbym gdzie na Sicz, albo na Dzikie Pola i tamby mi bujny wicher życia i stepów może przytłumił i rozwiął ten ból!... A tu mi wśród zgnusiałego miejskiego życia boleś chwyta serce jak w kleszcze, duszę się i brak mi wprost tehu...

Dziwna rzecz — mówił po chwili — ta nieszczęsna miłość rozbiła moją wiarę, zwichnęła mój los, skatowała serce, — a jednak nie złamała we mnie hartu, przeciwnie, czuję, że coś rozpiera mi piers, czuję jakiś nagły przypływ wewnętrznych sił, które mnie pchają ku jakimś wysiłkom olbrzymim, na ciężkie trudy fizyczne, na życie dzielne i prawdziwie męskie... Pójdę więc za Ocean — tam znajdę to wszystko... Osiądę gdzie na kawałku dziewiczej ziemi, sam będę karczował las, własnymi rękoma imię się pluga... byle pracy — jak najcięższej, codziennej! — może to przygłuszy ból i zabije pamięć... A gdy nie — to na wódzikiem mustanga puszcę się w głąb kraju, w głąb niezmiernych stepów i dziewiczych puszczy, i ze strzelbą w rękę zacznę życie koczownicze, leśne, wśród trudów i niebezpieczeństw — i znajduję w niem ukojenie, stracę przekłętą pamięć, która mnie gryzie jak czerw!...

Zaczął znów chodzić wielkimi krokami po pokoju, ale teraz poprzedni wyraz rozrzewnienia i smutku zniknął mu w twarzy, natomiast na białem czole osiadł niby rys młodzieńczej dumy i spokojnej energii, a oczy świeciły szczerym zapalem...

Władysław patrzył na niego w milczeniu, z dziwnym uczuciem:

— Oto — myślał sobie — tak był już bliski szczęścia, rozwinął swój talent, mógłby się stać z czasem pożytecznym członkiem swego społeczeństwa — i nagle kaprys jakiejś dziewczyny niszczy to wszystko, wykołaja go i wyrzuca gdzieś na krańce świata!...

I przyszły mu na myśl w tej chwili słowa wieszczki: „Kobietol! puchu marny!...“

A później ogarnął go mimowolny podziw dla tego młodzieńca, który nie na wzór tegoczesnych zropaczonych kochanków pali sobie w łeb albo pociesza się w parę tygodni po sercowym zawodzie jakim przelotnym romansem, lecz rzuca się oto z całą energią w życie pełne trudów fizycznych i niebezpieczeństw.

Więc uczuł bezwiedną sympatyę dla tej tężyzny wewnętrznej i duchowego hartu — i zapytał po chwili już na wół zaciekawionym głosem:

— I kiedyż wyjeżdżasz, Stachu?

— Jużbym dziś był w drodze — odparł tamten — ale nie mam jeszcze pieniędzy. Kilkadziesiąt rubli na taką podróż nie wystarczy. Wiosną, jak ci to już mówiłem, rzuciłem rozpoczęte obrazy i teraz muszę je na gwałt wykończyć, jak tylko je sprzedam zaraz — da Bóg — wyruszę. Wiesz, że nie długo się zbieram do drogi — dodał z weselszym już uśmiechem.

Wracając od Stacha, rozmyślał Władysław po drodze o jego zamiarze i coraz więcej się z nim godził. Rozumiał, że przy gwałtownym temperamencie kolegi doznany zawód mógłby daleko gorzej się dla niego skończyć i rad był, że z tego rozbitcia ideału i wiary wynosi Stanisław przynajmniej niezdrzutotany hart, który popchnie go do nowego bardziej męskiego życia.

Zarazem jednak litował się szczerze nad jego boleścią, tembardziej, że czuł, iż była głęboką i trwałą.

— Jakbym ja postąpił w takim wypadku? przemknęło mu nagle przez głowę, i schwyła go naraz dręcząca trwoga na myśl, że przecież i Stach wierzył i ufał równie głęboko, jak i on, a jednak oto jak się rozprysła ta wiara...

Uczuł więc gwałtowny ucisk w sercu. Przesunął parę razy ręką po twarzy i oczach, jak gdyby pragnął zedrzeć tę krepę, która mu przysłoniła na chwilę jasną przyszłość — i począł śpiesznie iść ku domowi.

Ale w domu zastał na stole list od Zosi, list taki serdeczny i pełny kochania, że trwoga jego rozwiała się bez śladu i uczuł lży rozrzewnienia; żał na myśl, że mógł ją skrzywdzić choćby chwilowym posądzeniem.

Tymczasem zajęcie jego w biurze adwokata szło zwykłym trybem; nawykał doń coraz bardziej i znajdował dużą zachętę ze strony pana Bronickiego, który zawsze był dla niego nadzwyczaj uprzejmy i względny. Zauważył nawet wkrótce Władysław, że mecenas dość wyraźnie wyróżnia go z pośród kilku innych współpracowników, i sam nie wiedział, czemu ma przypisać te osobliwsze względy pryncypała. Wpadł w końcu na myśl, że zapewne polecający list od sąsiadów tak przychylnie usposobił ku niemu p. Bronickiego, więc poprzestał na tem rozwiązaniu.

Wieczory wolne spędzał najczęściej u Stacha, przeczem myśl o rozstaniu się z przyjacielem budziła w jego sercu coraz większy żal. W następny Czwartek pomny na wrażenie smutku i tęsknoty, jakie wyniósł przed tygodniem z salonu państwa Bronickich, nie pokazał się u nich, lecz nazajutrz zrana, witając się z mecenasem, usłyszał od niego lekką wymówkę, że zapomina o życzeniach mu osobach. Przytem, ściskając dłoń młodzieńca, dodał mecenas z uśmiechem:

— Niechże pan nie zapomina o przyszłym czwartku, bo będzie nam wszystkim pana brakło.

(Dalszy ciąg nastąpi)

TEATR.

„Zaczarowane koło“ — Baśń dramatyczna w 5-iu aktach, Lucjana Rydla.

Baśń dramatyczna p. Lucjana Rydla, uwieńczona nagrodą pierwszą na konkursie Paderewskiego, jest rzeczywiście „zaczarowanym kołem“, słów, nieprawdopodobieństw, dziwacznych sytuacji, pomysłów niefortunnych, wielu scen luzem idących, niepowiązanych z sobą żadną myślą przewodnią, nad którem jednak unosi się niezaprzecony czar poezji, zaklęty w potęgę słowa — i właśnie czar ów, ta niezrównana piękność wiersza, nadaje słabym wiązadłom dramatu trwałość pewną i ratuje od upadku całość sztuki, jako też zmusiła większość sędziów konkursowych do odznaczenia jej pierwszą nagrodą. Autor do baśni swojej wprowadził wiejskie chłopię, którego jedynym skarbem na ziemi była fujarka o dźwiękach czarodziejskich. Słuchały tej pieśni niezrównanej łąki i pola, gaje i bory, kwiaty i drzewa i ptaństwo leśne i słońce złociste i miesiąccek srebrzysty; słuchała ją i Baśka wojewodzianka, garnąc się sercem całym ku pieśniarzowi. Ale gdy razu pewnego odjęła artyście narzędzie jego śpiewne — ukochany Filon wydał się jej brudnym i nieokrzesanym chłopem, lahmiany pastusze raziły wybredny gust wojewodzianki, czar zniknął, zniknęła uluda, która spoczywała w pięknej pieśni fujarczanej.

Jak z owym Maciusiem, tak byłoby i z baśnią p. Rydla, gdyby jej odjąć tę fujarkę zaczarowaną, w której spoczywa czar pieśni. Jako dramat, nie ostałby się przed ostrzem krytyki, bo brak w nim pobudki psychicznej, brak charakterów, skupienia akcji około głównej postaci albo idei; jako poemat nie wchłania w siebie żadnych ideałów, czy to społeczno-narodowych, czy ogólnofilozoficznych; jako zwykła baśń zresztą, zacierpnięta z podań i wierzeń ludowych, grzeszy sztucznością nagromadzeniem efektów, brakiem prostoty przebiegu całej akcji, która dążyć powinna bez żadnych skoków i podrzucania do naturalnego rozwiązania fabuły. Mimo to jednak zwyciężyła fujarka Macusia: gra i gra a wypadają z niej dźwięki tak piękne, że niejedna Basia wojewodzianka z zachwytem jej posłucha, nie zważając na zgrzebną koszulę nieokrzesanego Macusia.

Nie możemy zacieśniać ram dramatu, nie możemy narzucać z góry takich a takich prawideł,

którym niewolniczo pisarz ulegać by musiał. Wymagane dawniej jedność miejsca i czasu, były krępującymi powiżkami dla twórczości pisarskiej, przedstawienie zjawisk li tylko z życia codziennego, krępowało polot fantazyi, — niespokojny duch twórcy wciąż nowych dróg szuka, coraz nowe światy ogarnia, druzgoce krępujące go więzy, drwi z reguł i formulek, — mimo to jednak, są pewne prawa, z pod których wyłamać się nie może, nie dla tego, by je nakreślił areopag sędziów przysięgłych, lecz że one zupełnie odpowiadały danym rodzajom sztuki i jej formom. I oto — zachwycająca nas opisowość w poemacie, w dramacie byłaby niepotrzebną gadaniną, bo dramat jest formą sztuki, gdzie ruch, życie, postęp akcji, szybkie następstwo wypadków i skupienie myśli około głównego czynu — koniecznym jest, by odpowiedziano zadaniu, jakie wziął dramat na siebie. Po za obrębem tych wymagań, zupełna pisarzoziw pozostaje swoboda. Wolno więc wprowadzać świat rzeczowy czy urojony, postaćować sił przyrody, tworzyć bajkę z tysiąca i jednej nocy — ale tam, gdzie *działanie* jest wszystkim, opis nawet soplicowskiego wieczoru przejdzie bez wrażenia. Ostrożnym też być potrzeba z wprowadzaniem świata nadprzyrodzonego, ażeby nie ucierpiała logika wypadków, i skutek nie nastąpił bez rozumnej przyczyny. Możemy wprowadzać złe i dobre duchy, lecz nadać im musimy albo potęgę sił przyrody, oddziaływających na nas, choć zewnątrz nas będących, albo zakląć w nie nasze własne namiętności, dobro i zło, które jest bodźcem naszych czynów i postępów; staje zresztą przed nami symbol, który nas przyciąga tajemniczością swoją i urokiem swej zagadkowości. Jeżeli zaś wprowadzone przez nas postacie fantastyczne niczem nie są, nic nie mówią i działającej potęgi nie mają — płaczą się wtedy jak piąte koło u wozu i niepotrzebnym są dodatkiem do dzieła sztuki.

„Zaczarowane koło“ Rydla na równi ma wielkie wady jak i zalety. Kardynalną wadą jest wielkie gadulstwo wszystkich działających postaci, prawda że gadulstwo piękne, bo autor władą przepysznymi rymami a wiersz gniew się i dźwięczy według woli poety. Lecz piękność i poetyczność języka może nas zachwycić w *czytaniu* — na scenie rozwlekłość ta djałogów i monologów jest zbyt nużąca i raz w raz staje przeszkodą rozwojowi akcji. Autor „Zaczarowanego koła“ wprowadził świat fantastyczny duchów, nie są jednak one uosobieniem złych skłonności ludzi, demonicznej nie mają w sobie potęgi, na wypadki wpływają niezręcznie, żyją jakimś swoim odrębnym życiem, więc obecność ich na ziemi nie jest zbyt uzasadniona — szczęściem, że ludzie bez nich mają swój własny temperament, który im pozwala wznieść się nieraz do wyżyn tragizmu, bez oglądania się na te potwory piekielne. Niezdarność duchów złych zrównoważoną więc została wrodzoną namiętnością ludzką. Dramat nie ma w sobie jednej przewodniej nici, rozpada się na części, luźnie łączące się z sobą, — właściwie płaczą się tu dwa pomysły do dwóch dramatów, dwa szkice niewykończone, skupione sztucznie w całość, — odrębne te sceny jednak, rozpatrywane same w sobie, mają dużo tragicznej grozy. Złe zbudowana więc całość sztuki ratuje się doskonałymi częściami i każe nam wierzyć w rzeczywisty talent dramatisarski młodego autora, do którego przyszłość należy.

A teraz rozpatrzmy szczegółowo baśń dramatyczną, czyśmy się czasami nie pomylili w wypowiedzianym tu sądzie o niej.

Powiedzieliśmy wyżej, że w „Zaczarowanym kole“ płaczą się pomysły do dwóch dramatów, luźnie tylko z sobą związane. Ażeby udowodnić to twierdzenie nasze, nie będziemy rozpatrywali aktu po akcie, coby rozproszyło myśl naszą i kazałoby nam przeskakiwać z przedmiotu na przedmiot — lecz wzięwszy do rąk dwie nici głównych wypadków, zobaczymy jak się rozwijają bez wzajemnego wpływu na siebie, mało zaś znaczący punkt zetknięcia, wskaże nam tę łączność luźną dwóch odrębnych pomy-

słów i całość budowy złączoną sztucznie wiązadłem.

Zacznijmy od wojewody, jako postaci mniej tragicznej.

Jesteśmy w przepysznym sali wojewodzińskiego zamku. Przy bogato zastawionym stole ucztuje tłum gości, krążą puhary i oracje, gospodarz w mowie przeplatanej łaciną, dziękuje braci szlachcie za honor odwiedzin, a pan to być musi dobry, widać to z przemowy pana Marcina Brzechwy, który, podnosząc gościnność wojewody, mówi, że i szaraczkowy szlachciec nawet z łatwością wysokie te progi przestąpi i na równi ze wszystkimi mile widziany tu będzie. Grzmia wiwaty, puhary krążą, a wojewoda wylewa się przed szlachtą ze skargą na niesprawiedliwość imci jegomości króla, który ominął go w rozdawnictwie buław i godnością hetmańską obdarzył stryjecznego Hieronima. Pośród zebranych gości zjawia się postać karmazyna o szatańskim a posępny wyrazie twarzy. Nikt go nie zna, zapoznaje się z nim tylko pan Brzechwa, ale z trwogą usuwa się, bo to jest Boruta z podziemi łączyckiego zamku. Uczta skończona, goście senni na spoczynek się udają, wojewoda pozostaje w sali, i ma wejść do przyległej komnaty, w której widać łożo usłane, krucyfiks na ścianie, i palące się przy nim dwie świece. Spostrzega jednak Borutę. A waś z kąd i czego? pyta. Zły duch nie ukrywa celu swojego przybycia. Posłyszał skargę wojewody na usunięcie go od hetmaństwa i chce mu przyjść z pomocą. Buława nie ominie wojewody, byleby on swoją duszę djabłu zapisał. Propozycja pierwsza miłą jest, ale druga nie bardzo łąchąca. Boruta przeto wcale lekki stawia warunek: wezmę twoją duszę, ale wtedy tylko, gdy sam ręką własną zabijesz niewinnego człowieka, albo gdy go skażesz na śmierć. Zabójstwo na wojnie jest wykluczone.

Warunek nie uciążliwy, na człowieka niewinnego wojewoda się nie porwie — więc zgoda. Boruta wymaga tylko, pod słowem szlacheckim, cyrografu nawet nie żądając, by w danej chwili wojewoda niechciał Twardowskiego naśladować, który się wykpił djabłu, śpiewaniem godzinek do Najświętszej Panny. Przyszły hetman daje *verbum nobile* i sprawa skończona. Nie! — stryjeczny żyje. Lecz na to jest rada. — Masz portret brata — to uderz sztyletem w serce, a umrze. Portretu nie ma. — Masz może strzęp jaki z jego ubrania? — Brak i tego. Ale są jawory w ogrodzie sadzone w dniu urodzin każdego z członków wojewódzkiej rodziny, jest i brata Hieronima jawor. Niech padnie pod ostrzem topora, a śmierć nie ominie hetmana. Boruta znika a wojewoda wydaje rozkaz Chojnackiemu, by jawor ściał natychmiast.

I oto czeka z niepokojem na uderzenie topora, ale Basia wojewodzianka, trapiąca snem straszny, w którym się wysniła macierz jej blada i smutna, może dla tego blada i smutna, że Basia pamiętkowy pierścienek zgubiła — poszła do jaworów dla odszukania pierścienia. Było to jej ulubione miejsce dumań. Widząc więc zamach Chojnackiego na drzewo ukochane, objęła pień jego ramionami i ściać nie pozwoliła. Gniewny wojewoda każe przywołać córkę. Ale nadaremno w przeszlicznym tryolecie broni dziewczyna jaworu pamiętkowego, daremnie opowiada ojcowi o widzeniu matki — wojewoda nie chce słuchać skarg i prośb dziewczyny — i drzewo ścięte zostaje.

Wojewody nie dręczy sumienie, choć ścięcie jaworu równa się zabójstwu brata, o czem wiedział od djabła Boruty. To ścięcie jaworu jest zresztą *zabójstwem niewinnego* i mieszkańiec piwnic łączyckich śmiało mógłby po duszę pańską przyjść. Ale o tem znowu djabeł jak i autor zapomnieli, zaprędko zresztą dramat by się skończył; czekajmy więc *innego* niewinnego, który oczywiście nadarzyć się musi. Ale scena z jaworem jest chybiona. Usunięcie hetmana było już rzeczą Boruty. Tymczasem wojewoda zabił niewinnego, oszukał widzów, i zatarł wrazenie efektu.

Bezpośrednio po tej scenie, — po której następuje akcja drugiego chłopskiego dramatu, ni-

czem nie związana z pierwszym, — wojewodę, z bawiącą u niego szlachtą spotykamy na polowaniu w lesie, gdzie ich przeraża trup świeżo zamordowanego młynarza. Przed chwilą jakiś człowiek umknął od ofiary rabunku czy zemsty, lecz go schwymano na rozkaz wojewody i stawiono przed panem. Był to drwal. Miał twarz i koszulę krwią zbrozoną, koło zamordowanego zaś leżała okrwawiona siekiera, należąca do zbiega, mimo jednak tych poszlak zbrodniczych, drwal do występku się nie przyznał i o swojej niewinności zapewniał. Ale siekiera, trup, krew na ubraniu i prerażenie pochwyconego, wskazywały dowodnie, że nikt inny tylko on był mordercą młynarza.

Na zamku wojewody odbywa się sąd, kat przybył; świadectwo organisty, przed którym drwal wygrażał na młynarza, każe wojewodzie wydać wyrok śmierci na zbrojca, choć ofiara omyłki upewnia raz jeszcze o niewinności swojej. A z dziwnie lekkim sercem pan wojewoda ten wyrok wydaje; ani razu nie przychodzi mu na myśl podstęp djabła, któremu przecie duszę odda, gdy niewinnego człowieka śmiercią skarze. Są wprawdzie poszlaki silne, że drwal dopuścił się zbrodni, ale tu z wyrokiem krwawego sądu łączy się wyrok potępienia wiecznego, zawieszony nad duszą nieogłędnego sędziego. A przecie choćby przekonanie wojewody o winie drwala graniczyło z pewnością, w duszy sędziego powinna się odbyć walka między koniecznością spełnienia krwawego obowiązku a naturalną trwogą przed możebną omyłką, za którą wiecznym potępieniem zapłaci się. Kto wszedł w grę z czartem ten na baczności mieć się powinien, a jakkolwiek wyrok wydanym być musiał, nieodzowną jest walka wewnętrzna, coby podniosło grozę sądu do wyżyn tragizmu. Tymczasem sąd wojewodziński odbywa się tak, jakby się w zwykłych, normalnych warunkach odbywał, jakby po za plecami sędziego nie stał Boruta, który go uprzedził, że za zgładzenie niewinnego człowieka duszą własną zapłaci. Niepotrzebnym też jest rozkaz stawiania naprzeciw bramy wjazdowej szubienicy, którą następnie przenosić potrzeba, z powodu przyjazdu kasztelana. Te wydawane i odwoływane rozkazy przedłużają sztukę i tak nużąca z powodu przydługich djałogów i monologów i powtarzających się wciąż jednych i tych samych zdań i frazesów.

W chwili podpisania wyroku zjeżdża na dwór wojewody kasztelan, z prośbą o rękę Basi, co miłem jest wojewodzie, stokroć jednak jest miłszem wręczenie mu przez kasztelana buławy, po śmierci brata Hieronima. Ta śmierć jednak, ta buława i to jej wręczenie, przypadające w chwili skazania na szubienicę rzekomego mordercy młynarza — nie nasuwają wojewodzie i teraz żadnej myśli o podstępie djablim; z radością przyjmuje buławę, z radością oddaje kasztelanowi córkę, nie przeczuwając zbliżającej się katastrofy. Aż oto przed oblicze pańskie, do pysznej sali zamku wpuszczonej zostaje oblakana młynarka. (Wątpimy, czy ktoby postać podobną wpuścił do komnat swoich i to w chwili miłszego gruchania młodej pary — ale bez tego, nie wyjaśniłaby się omyłka wojewody, polegająca na skazaniu na śmierć niewinnego człowieka). Młynarka w obłądzeniu zdradza się. To ona wraz z Jaśkiem kochankiem dokonała morderstwa na mężu. Dopiero teraz strach ogarnia sędziego, każe powstrzymać wykonanie wyroku — ale nie szczęśliwy drwal już zawisł na szubienicy. Zjawia się Boruta z żądaniem duszy — ale wojewoda, wbrew danemu słowu, zasłania się krzyżem, co oburza szlacheckiego djabła i każe mu rzucić obelgę w oczy swojej ofierze. Wojewoda na szable wyzywa złego ducha, ale czart z panem o „dziurawym honorze“ na ostre mierzyc się nie chce, wtedy ambicja nad strachem przed potępieniem wiecznym górę bierze, wojewoda oddaje się Borucie i — trupem pada, ale honor szlachecki ocalony.

Teraz pytamy: czy ocalenie honoru szlacheckiego, kosztem niebieskiego królestwa, na czem kończy się sztuka, ratuje cześć pana wojewody, którego dusza stokroć większym grzechem obar-

czoną została, bo—bratobójstwem? Niepojmujemy tego zwycięstwa ambicji szlacheckiej, jako też końcowego morału dramatu.

Znacznie lepiej jest przeprowadzony dramat chłopski, który w odrębnych aktach się rozgrywa, żadną prawie nicią z tym szlacheckim nie związany dramatem.

Przebiegnijmy go po krótko.

Jesteśmy w lesie, o zmierzchu późnym; zatopionych miast dzwony odzywają się w jeziorze i hałas duchów podwodnych, uśmierzany przez Dziadka leśnego za pomocą święconej wody, którą mu wręczył głupi Macius. Butelkę tej wody zgubił organista, Macius znalazł.

Dziadek leśny jest niby uosobieniem ducha przyrody, gniewny na plemię ludzkie, że zawiądnęło ziemią i wszystko na korzyść swoją obróciło. Jest to duch dobry, przeklinający czartów za ich podszepty i wpływy, jakim ulegają ludzie. Daremno *Kusy* gniewa się na dziadka, nie może zmódcz starego, który od pierwszej sceny staje w przeciwieństwie ze złemi duchami. Ale oto przed chatą Dziadka leśnego zjawia się młynarka ze skargą na nieczułość Jaśka, który dawną kochankę swoją porzucił i za dziewczętami po wsi ugania się. Dziadek leśny, czuły na skargi niewieście, doradza różne sposoby opuszczonej przez niewiernego Janka, ale i próbowany już lubczyk nie pomógł i kostki zjedzonego przez mrówki nietoperza skutecznymi nie były—pozostaje więc tylko jedno—krwawy ślub.

Bóg wie dla czego pocziwemu Dziadkowi te straszne wyrwały się słowa, które pochwylił *Kusy*, z wielkiem zawstydzeniem Dziada i słowa wytłomaczył zaraz młynarce. Ślub krwawy, to użycie topora lub noża, zamordowanie starego męża do spółki z Jankiem. Złączeni tym ślubem już się nie rozłączą nigdy. Jasiek na wieki do Maryny należeć będzie.

Młynarz jest stary kutwa, żal jakiś do niego ma drwał. Organista szukający butelki z wodą święconą, zaszedł do lasu; spotkał się z drwalem, który zaczął skargi swoje przed nim wywodzić i wygrażać młynarzowi. Tymczasem natrętna Maryna sprzykrzyła się Jaśkowi, porzuca więc parobka służbę u młynarza i w świat uchodzi. Maryna zabiega mu drogę, namiętnymi oplata go ramionami; odrzucona garnie się znowu ku niemu, rzuca w ucho szept o zabójstwie, ale prawa dusza chłopca wdryga się na myśl podobną. Jaśko uchodzi, Maryna za nim goni. Ale pogoni Jaśko nie ujdzie, bo czuwa *Kusy* i każe Jaśkowi zabłąkać się w lesie.

Tymczasem młynarz spotyka się z drwalem. Od słówka do słówka do bójki między nimi dochodzi i stary młynarz uderza pięścią napaśnika, że bryzga krew mu z nosa i okrwawia koszulę. Drwał zostawia siekiere w lesie i umyka a oto wchodzi Jasiek i spotyka młynarza. Stary napęda parobka do roboty, ale Jasiek wymawia służbę. Porywają się za bary, wtem Maryna zjawia się, i, widząc walczących, daje do rąk Jaśkowi porzuconą siekiere drwala. Młynarz pada zabity i—oto dopełniony został ślub krwawy.

Po chwili z drużyną łowiecką wojewoda nadchodzi. Drwał wraca po siekiere—ale, przerażony widokiem trupa umyka. Podejrzenie pada na niewinnego, zostaje schwytyany i oddany w ręce sprawiedliwości.

Wspólność zbrodni złączyła Jaśka i Marynę. Jego trapią wyrzuty sumienia, ją gniewa trwoga i małoduszność współnika zbrodni. Wreszcie w szale miłosnym chcą utopić pamięć o zbrodni—zresztą umarli nie wstają, spełnionego czynu nie odrabia się, trzeba pogodzić się z losem. I może by się pogodzono, lecz oto ukazuje się nocą światło w młynie, skrzydła wiatraka zaczynają się same obracać. To duch starego młynarza miele zboże, to *Kusy* uczepiony u skrzydeł młyna koło obraca. Straszny upiór przeraża winowajców, Jaśko topi się, Maryna obłąkania zmysłów dostaje.

Zakończenie już wiemy: drwał skazany niewinnie, młynarka w przystępie obłądki wygadała się, że ona jest zbrodniarką, Boruta wziął duszę wojewody.

Zobaczyliśmy więc, że dwa dramaty rozwijały się obok siebie, niezależnie od siebie. Punktem ich zetknięcia jest obłąd Maryny. Dwie linje zapóźno się zbiegły, ażeby utworzyć mogły harmonijną całość budowy. Wprowadzenie obłąkanej do sali zamku wojewody jest niezręcznością autora, który nie wiedział jak rozproszone nici uchwycić, by z wojewodą skończyć nareszcie. A tak łatwo było uniknąć nieprawdopodobieństwa wejścia obłąkanej do zamku. Trapią wyrzutami sumienia Maryna mogła sama oddać się w ręce sprawiedliwości. Podniosła by się przez to tragiczność sytuacji, dreszcz grozy przejąłby słuchaczy.

Nie powiedzieliśmy tu nic prawie o głupim Maciusiu i Basi-wojewódziance.

Macius, sam w sobie jest bardzo wdzięczną postacią, ale, jakkolwiek widzimy go wciągu całego dramatu na scenie, na bieg wypadków nie wpływa, żadnej z nimi łączności niema, z nim jak i bez niego odbyłoby się wszystko jak się odbyło—bo gra tylko na swojej fujarce, która wchłonęła w siebie wszystkie dźwięki natury, a choć kuszony niejednokrotnie był przez złe duchy, za skarby świata nieoddałby swojego śpiewnego narzędzia, które mu dało na świecie—szczęście. Basia również jest nie nieznaną figurką. Nie ocalała nawet jaworu tryolettym wypowiedzianym przed ojcem, nie udało się jej zbyt długo nawet romansować z Maciusiem, którego Filonem nazwała, bo gdy fujarkę jego do rąk swych wzięła—uraziła ją zgrzebną koszula pastucha i jego chłopskość. *Kusy* i *Boruta* również wyraźnego nie mają celu, wpływ ich za nikły, wpływają na wypadki z woli autora, nie przez demoniczność własnej potęgi. Dziwną też rolę w dramacie odegrywa i butelka święconej wody zgubiona przez organistę. Gdyby nie ten z nią wypadek, organista nie spotkałby się z drwalem, nie słyszałby jego skarg na młynarza, nie mógłby przed sądem świadczyć na niekorzyść skazanego niewinnie. Prawda, że w procesach kryminalnych mały strzępek szaty zmienia czasami proceder sądów—ale dzieło sztuki powinno być wolne od trafów podobnych: nie wypadek, rozwiązujący dramat, lecz nieubłagana logika wypadków, skupia naszą uwagę i myśl potracą.

Sztuka p. Rydla ze swojemi dyablami, dziadkami, zwierzętami i młynami—zrobiła na nas wrażenie jaselek. Jakiś bezład w niej panuje, jakieś gorączkowe chwytanie wciąż rwących się nici głównego wątku. Ale jak fujarka Maciusia zachwycała Basię-wojewódziankę, tak rozbija nas ze zbyt surowego sądu o dziele przepyszny język, nieposzlakowana rytmika wiersza i bogactwo rymów.

Tu zwrot do panów aktorów:

Panowie! nauczenie się mówić wierszem rymowanym, nie róbcie z niego prozy, najzwyczajszej prozy, bo pocóż harmonja rytmu, muzyka wiersza, dźwięk rymów, jeżeli zatracacie zupełnie to, co jest głównem pięknem poezyi?

Kazimierz Gliński.

Kto zawinił

przez

AL. ŚWIERKA

(Dokończenie).

Tak w milczeniu dojechali do hotelu.

— Rozwierski — rzucił krótko gapiowatemu służącemu, który ich poprowadził po jasno oświetlonych schodach na pierwsze piętro.

Stąpali cicho po dywanie z dziwnymi, zmartwiałemi twarzami i przesunęli się przez korytarz jacyś przerażający.

Dopiero w pokoju hotelowym pani Alina rzuciła z siebie okrycie, upadła na kanapę i zanosła się gwałtownym spazmatycznym łkaniem.

Rozwierski chodził wielkimi krokami po pokoju i pośpny, spokojny, słuchał szlochania żony.

Trwało to kilka minut, potem ona z wolna się uspokoiła, wreszcie otarła oczy, podniosła się z kanapy i biorąc w rękę kapelusz, zaczęła:

— Chodźmy...

Ale mąż wstrzymał ją ruchem ręki. Chciał coś mówić, lecz nie mógł z siebie głosu wydobyć. Stali tak przez chwilę, potem ona nakładając kapelusz, powtórzyła tonem rozkazującym:

— Chodźmy!

Ale Rozwierski znów ją zatrzymał.

— Zaczekaj... niewiesz jeszcze wszystkiego?... mówił z wysiłkiem, kropelki potu występowały mu nad górną wargą, ale widząc skierowany na siebie wzrok żony pełen przerażenia, które prawie do obłąkania dochodziło, powiedział z nagłą decyzją:

— On nie był chory... przynajmniej nie fizycznie... on... on sobie... życie odebrał.

W chwili, gdy to mówił zdjęła go litość nad tą kobietą i nagle rozrzewnienie. Zrobił taki ruch, jakby ją chciał objąć lub przytulić, ale ona go odepchnęła i wrzasnęła dzikim głosem:

— Tyś go zabił!—przyczem rzuciła mu spojrzenie pełne nienawiści.

Rozwierski pobladł śmiertelnie, drgnął tak, jakby się miał na nią rzucić i przez chwilę stali naprzeciw siebie wybladli, nieprzytomni, krzyżując tylko spojrzenia płonących oczu, a w wielkim, mrocznym pokoju słabo migotały płomienie dwóch świec..

Nareszcie Rozwierski wbił oczy w ziemię i powiedział ponurym głosem:

— Zabiliśmy go oboje!

— Kł... niedokończyła, bo jej przerwał nowy wybuch łkania, ale tym razem przemogła się pręcej, szybko się ubrała i nieogładając się już na męża, wyszła na korytarz. On w milczeniu postępował za nią, w milczeniu również wsiedli do dorożki, stojącej przed bramą, dopiero na pytanie dorożkarza dokąd jechać, Rozwierski odpowiedział mu przez zęby tak niewyraźnie, że musiał powtarzać.

Noc była wietrzna, krupki śniegu twarze im zasypywały, ale nie czuli tego. Zęby pani Aliny dzwoniły, jak w febrze; wyraz bólu na twarzy Rozwierskiego potęgował się z każdą chwilą... Dorożka się zatrzymała.

Weszli do bramy, na schody, potem w jakiejś drzwi otwarte, z kądem czuć było zapach żywicy sosnowej i spalaziny.

Pani Alina stanęła nagle jak, wryta. Oczy jej uderzył szereg jarzących świec; między nimi, w trumnie ustawionej nisko i osypanej chojną rysowała się w gwałtownym skróceniu postać leżąca z błyszczącymi guzikami od mundurku.

Pani Alina postąpiła jeszcze kilka kroków, potem z głuchym jękiem osunęła się na ziemię, uderzając czołem o metalową nogę trumny.

A Rozwierski stał nieporuszony. Szklanym wzrokiem patrzył na trumnę, na płonące gromnicę, na kir, który zdawał się czarną głębią, gdzie lada chwila wszystko utonie i na umarłego chłopca. Patrzył obojętnie. Ach! tak zżył się z tym widokiem, jakby w tej czarnej komnacie przepędził nie noc jedną, ale lata całe. Dziś zrana tłum odwiedzających zwłoki wystraszył go; miał zresztą mnóstwo interesów do załatwienia, interesów, przy których każde słowo tak boleśnie targało mu duszę, że wprost chciałby był zebrać litości u tych, z którymi mówił.

Teraz z uczuciem niewymownej ulgi wrócił do tego pokoju, gdzie była cisza i spokój, wielki, ogromny spokój. Tu był sam z dzieckiem, które żegnał nazawsze, tu mógł do syta wpatrywać się w ukochane rysy i słyszeć w głębi duszy jakby echo tych słów pieśczętliwych, jakie miłość rodzicielska zwykle znajduje, a na jakie on, skryty z natury, zdobyć się nie umiał nigdy.

A jednak kochał tego chłopca, kochał tak, iż życie po jego stracie zdawało mu się niepod-

bieństwem; kochał go nad miarę, chociaż srogoscia usiłował hartować dziecko rozkapryszone wychowaniem w zbytku, zabawach i atmosferze buduarowych perfum. I chciałby był wieczność całą stać tak przy zwłokach swego syna sam, sam z niemi.

...Ocknął się nagle.

Wszak nie był sam.

W tej chwili zza trumny, po stronie przeciwnej niż ta, z której stanął, podniosła się twarz kobieca podobna do widma i dwoje oczu strasznych, sinemi cieniami podkrążonych, spojrzęło bezmyślnie na Rozwierskiego i utkwilo w martwej twarzy czczonego chłopca.

Tak, to był Zygmunt. Ale o ileż starszy! Śmierć już wygładziła te rysy delikatne nawpół przekształcone z dziecinnych w młodzieńcze i powlokła je wyrazem bolesnego spokoju. Gdyby nie wyraźny już, ciemny meszek nad ustami, gdyby nie krótko ostrzyżone włosy, można by wziąć za twarz kobiety ten profil regularny, trochę zaostrożony ze zmarszczką głębokiego cierpienia na czole, z gorzkim zagięciem w kącie ust miękko, pieszczotliwie zarysowanych. Długie rzęsy rzucały ostry cień na woskowy policzek, a lekko spuszczone powieka z siecią sinych żyłek zdawała się czarna.

Matka nachyliła się bliżej. Pod temi powiekami były zamknięte na zawsze oczy szaro-błękitne, które tyle razy na nią patrzyły, zawsze tęsknie, zawsze z jakimś zagadkowym, w pół wyrażonym pytaniem. Zdawało się teraz że zamknął oczy aby się lepiej zastanowić nad tem, co go męczyło,—taka niezmierna zaduma powlokła rysy, które wyglądały jakby stworzone do pieszczoty i uśmiechów. Śmierć już kładła sine piętno na tę twarz młodziutką, a jeszcze z niej nie zszedł ból życia i cierpienie zastęgało już na niej na wieki, razem ze spokojem wypoczynku.

Matka odsunęła ciężkie lichtarze ostrożnie, przezornie, jakby nie chciała dziecka obudzić i klękając przy trumnie, ustawionej na ziemi prawie, zarzuciła na nią ramię. Potem, nachylona, zaczęła okrywać pocałunkami martwą twarz syna, czoło, policzki i drobne, zsiniałe usta. Całowała powieki tak delikatnie, jakby czuła pod niemi spojrzenie tych ślicznych oczu, całowała bez końca, nie wierząc nawet, że kilkanaście godzin przedtem spoczywały tu usta jej męża.

A Rozwierski stał i patrzył, szarpany bólem coraz okrutniejszym.

Zeszłej nocy zdawało mu się, iż niepodobna cierpieć więcej niż on cierpi w tej chwili. Teraz przekonał się, że niema takiego bólu, o którym można powiedzieć, że jest najsroższy.

Widok tej kobiety poruszył w nim nietylko ze zdwojoną siłą terażniejsze udręczenie, ale wywołał jeszcze wszystko, co go dręczyło w przeszłości.

Porywały go najsprzeczniesze uczucia. Ani rozstanie; ani słuszny żal i gniew do niej, ani rozczarowanie, ani oburzenie, nie na świecie nie zdołało mu jej uczynić obojętną. Patrząc na nią pragnął albo odepchnąć na kraniec świata, albo pochwycić w objęcia, ale nigdy, nigdy nie potrafiłby na jej widok wykrzyknąć po francusku:

— „Comment, c'est vous?”

Oboje w tej chwili całą swoją istotę skierowywali w jedno, a przecież ta trumna, stojąca między nimi była jak przepaść.

Godziny nocy upływały jedna za drugą, gromnice zniżyły się znacznie i płomień ich, bliższe twarzy zmarłego, oświeślały ją wyraźnie.

A rodzice wciąż stali po obu stronach trumny, nieruchomi, wpatrzeni w sztywną postać chłopca i w jego woskową twarz.

Wtem Rozwierski drgnął, jakby sobie coś przypomniał, zaczął szukać po kieszeniach i wydobyl papier złożony w kilkoro.

Zona tego ruchu nie zauważyła, czy też nie widziała wcale, doś, że stała dalej, jak przedtem.

Wówczas on trochę wahającym krokiem obszedł trumnę dokoła, zbliżył się do żony i podał jej ten papier.

Pani Alina spojrzęła nie rozumiejąc o co chodzi, ale przeczytawszy napis: „Do moich Rodziców,” żywo się poruszyła, i przybliżając papier do płomienia gromnicy, rozłożyła go.

Rozwierski stał za nią w pewnej odległości i patrzył przez jej ramię.

List był bezładny, pisany pośpiesznie i nieporządnie:

„Droży Rodzice!

Kiedy te słowa dojdą Was, już mnie na świecie nie będzie. Wahałem się długo, myślałem o tem nieraz, aż się zdecydowałem. Nie gniewajcie się na mnie.

Nie mielibyście zemnie nigdy pociechy, więc i lepiej, że zejdem z tego świata. Ojciec się mną martwił, Mama mię rzadko widywała. Widzę, że nie mogę znaleźć szczęścia w życiu, a bez niego żyć nie potrafię.

Wam bym go także nie dał, a do walki zupełnie sił w sobie nie czuję. Na co ja komu jestem potrzebny? A moja śmierć może się przydać. Może Wy, którzy się nigdy nie spotykacie, spotkacie się przy mojej trumnie i pójdziecie za nią razem. Życie nic nie warte, niechże śmierć przynajmniej będzie coś warta. Moje siostry, to jeszcze dzieci. Niechże, dorastając, widzą was czasami razem, a może nie będą się dręczyły tem, co mi zatruło każdą chwilę odkiedy myśleć zacząłem. Ja niewiem czy co będzie, z tamtej strony i co będzie, ale tego przynajmniej nie będzie, co mię tu dręczyło. Bywajcie zdrowi. Mamo, czy Mama pamięta, jak byłem mały i lubilem siedzieć u Mamy w buduaru i czytać bajki Andersena? Spaliłem kiedyś tę książkę z bajkami. Wtedy kiedy ją czytałem, bywałem szczęśliwy. Piszę brednie, ale już niemam czasu drzeć i przepisywać. Żegnam Was. Chciałbym, żeby moje siostry nigdy nie wychodziły za mąż. Chciałbym, żeby były szczęśliwe, a wiem, że to niemożliwe. Bywajcie zdrowi i pamiętajcie o mojem ostatniem życzeniu.

Wasz syn
Zygmunt.“

Płomyki gromnicy rzucały migotliwe światło na nieczytelne prawie wyrazy listu....

...Świtało już — jeżeli światem nazwać można ten posępny, zamglony brzask marcowego poranku, który przecisnął się nawet nie zdołał przez kirem osłonięte okna...

W kącie naprzeciw katafalku klęczała, a raczej przykucnęła skulona postać niewieścia. Z głową pochyloną i w dłoniach ukrytą, wstrząsana od czasu do czasu, jakby dreszczem czy łkaniem tłumionem, tonęła w ciężkiej, posępnej zadumie, osłupiała w boleści swej, dziwnem jakimś, półsennem odrętwieniem zdjęta. A we wspomnieniu jej przesunęło się życie całe—długie—ach! jakie długie się wydaje!...

Młodziutka, pusta dziewczyna,—wprost z pokaju nauczycielki cudzoziemki, w zgrabną obciśniętą amazonkę, w której hasała konno, porwana w wir zabaw. Sala balowa—stroje, kwiaty—rój tancerzy—któryś z nich może piękniejszy—zgrabniejszy? nie pamięta ale—„dobra partya,” mówiono... Tak samo, jak do kontredansa, podała mu rączkę do ołtarza (...a on — dziecko—pisze: „Niech siostry moje zamaż nie wychodzą!”)—to chwilka a potem bawić się będzie, bawić, flirtować, zagranicę jeździć, polować.

Nic z tego — mąż nie chciał dalej być tancerzem tylko, wojażerem lub parawanikiem—nudny — zardzewiały—prawił coś o obowiązkach, uczuciach obywatelskich — rodzinie—nudziarz. Pani młoda w brylantach i szafirach nie chce się na wsi zakopywać — nie do tego stworzona i wychowana przecież. Salon, flirt, zabawa—moda—to jej żywioł. Dzieci, kiedy już są, bona dopilnuje Francuzka, Angielka—mąż gospodarz niech siedzi i intraty zbiera—ona—niewolnicą nie będzie... I znów bale, flirt — szeregi wyfrakowanych i umundurowanych panów,—ale czegoś i oni nudni — i wszystko nudne się staje—ale trudnoł to świat—ona dla świata żyć musi. I żyje... żyje—tylko że światła gasną powoli, niby w sali balowej nad ranem — i ciemno — pusto się robi—coraz puściej.

...Wzdrygnęła się, odrzuciła w tył głowę i—może blaskiem gromnicy u trumny dziecka nagle rażona, wybuchnęła straszny, okropny płaczem... I padła krzyżem na ziemię zalana łez strumieniem—tylko w miarę jak lzy te płynęły robiło się jakoś jaśniej, cieplej w biednej zblakanej czy śpiącej dotąd duszy...

...Biedny Zygmunt—może Rodzicom lepszą nadał wymodlił dolę...

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: *Samotna*, powieść przez Werbeck'a. Przekład Z. S. Arkusz 9-ty.

OD WYDAWCY.

„Bluszcz“ w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasowymi warunkami

Szanownym prenumeratom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Treść: Ś. p. Joanna z Rottów Mużakowa. „Karolina Swietla,” przez Antoszkę. — Przerwana pieśń. Elegja, przez Stan. P. — Bez tytułu. Powieść współczesna, przez Stanisława Ostrowskiego (dalszy ciąg). — Teatr, przez K. Glińskiego. — Kto zawinił, przez Al. Świerka (dokończenie).

Dodatek obejmuje: *Samotna*, powieść, przez Werbeck'a. Przekład Z. S. Ark. 9-ty. — Przegląd mód. 39 wzorów i robót z opisem. *Sekreta gospodarskie*. — Dyspozycya obiadu.

Warszawa — W Drukarni i Litografii Tow. S. Orgelbranda Synów, Krakow.-Przedmieście № 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg

Дозволено Цензурою.—Варшава, 15 Сентября 1899 г.



Nr 2. Suknia spacerowa z odmiennym żakieciem. Nr 3. Kostium jesienny.
(Kroj pierw. str. tabl. Nr VI, fig. 41—50).
Opis w Bluszczu Nr 38.

Kapotka aksamitna „beige“ w dwóch cieniach. Dziewięć kólek, wymarszczonych z aksamitu, tworzą przód kapotki, główka wymarszczona, dwa piórka strusie w dwóch cieniach i brydy z szerokiej wstążki, tworzą kapotkę bardzo elegancką dla starszych dam.

Kapotka aksamitna koloru „cérise.“ Główka całkiem przykryta pięknymi, krótkimi piórami strusimi, modnie zafrizonanymi. Przód ułożony z czterech jakby skrzydeł z aksamitu „cerise,“ obszytych podwójną, czarną ruszką, spiętych dwiema agrafkami stalowymi, egreta z rajskich piór stanowi podwyższenie kapelusza, czarne brydy z aksamitki dopełniają całości.

Kapotki z bratków. Dwa olbrzymie bratki tworzą główkę kapelusza. Przód zręcznie ułożony z aksamitu pod cień bratków, przepięty z przodu piękną szpilką. Kapelusik ten, stosownie do koloru bratków, może służyć dla starszych i dla młodszych pań. Dla starszych pań dodają się brydy z aksamitki.

Tok z filcu popielatego, wyszytego w pasy czarną sznelą. Cały tok ułożony z miękkiego filcu, bardzo modnego w bieżącym sezonie, bok podniesiony i podpięty dużym puklem i kilkoma puklami aksamitu czarnego, spiętego kłamrą stalową.

Tok z aksamitu stebnowanego, koloru migdałowego (amande). Cała główka i rondo miękko ułożone z aksamitu, w równych odstępach prze-stebnowanego, w kolorze ciemnym „amande,“ bok podniesiony i przybrany obłożeniem z piór fantazyjnych, ponad którym umieszczone jest duże „choux“ z pukli z aksamitu, w jaśniejszym odcieniu „amande.“

Tok koloru „mauve.“ Główka z pluszu wymarszczona w kształcie dużego liścia. Przód, ułożony z pluszu „mauve“ i ciemniejszej materii. Z boku czarna fantazyja i egreta z czarnych, rajskich piór, spięta małymi agrafkami złotymi. Od tyłu trzy róże aksamitne.

Tok fiolkowy. Całe rondo z materii, wymarszczone na drutach, stanowi gruby wałek. Główka niewielka aksamitna. Przód zebrany agrafą oksydowaną w węzeł, z którego wychodzą dwa skrzydła fantazyjne, oraz wachlarzyki z aksamitu.

Wszystkie modele powyżej wymienionych kapeluszy, są wybrane jako najpiękniejsze, obok nich jest ogromny wybór skromniejszych a ładnych kapelusików, na różne cele przeznaczonych, a że oprócz tego firma posiada

Przegląd Mód.

Nowości sezonowe.

Ostatni przegląd z dziedziny mody, był niejako wstępem do otwarcia jesiennego sezonu, który obecnie wchodzi w fazę zupełnego rozwoju. To też dzisiejsza pogawędka obejmie szerokie pole, zaznaczając na niem prawie wszystko to, co nas w danej kwestyi obchodzić może, a więc: kapelusze, okrycia, materiały, a w końcu i dziecinne ubrania, które również podlegają zmianie, a szczególnie tego roku przybrały zupełnie inne fasony.

Zacznijmy od kapeluszy, przywiezionych z Paryża przez właścicielkę oddawna znanej w Warszawie firmy E. Loth (Saski plac 5).

Tok koloru „vieux-fraise,“ główka dość wysoko wymarszczona, z materii koloru „fraise,“ rondo z aksamitu ciemniejszego odcieniu, zręcznie ufalowane, ku przodowi podwyższone. Z lewego boku umieszczona egreta, palety wymarszczone z materii, podbite ciemniejszym aksamitem, spięte kłamrą złotą, pióro strusie w cieniach „vieux-fraise,“ spuszczone do tyłu.

Kapelusz filcowy koloru „beige“ w rodzaju beretu, ułożony z dużego, miękkiego fasonu filcowego, o główce okrągłej. Rondo dokoła odwrócone i ułożone w grube kontrafałdy. Każda fałda z wierzchu wyszyta sznelą w odcieniu kapelusza. Bok podpięty skrzydłami koloru „beige,“ od spodu koloru turkusowego, zakończony węzłem z pluszu w odcieniu kapelusza. Kapelusz ten widziałam w kilku odcieniach i jest bardzo odpowiedni, jako strojnniejszy kapelusz dla młodych pańien.

Odpowiedni również dla młodych pańien jest kapelusz w rodzaju amazonki, lekko ułożony, z aksamitu „miroire“ koloru rezedowego. Tył podpięty szeroką kokardą alzacką, ze wstążki do cieniu, a z boku umieszczona fantazyja z piór „Lophophor,“ spięta agrafką z szenili.

Kapotka aksamitna dla młodych mężatek, koloru „cardinal.“ Główka okrągła, gładko aksamitem obciągnięta, rondo stosunkowo dość duże, również gładko obciągnięte, z przodu wycięte w ząb. Na brzegu ronda zrobione wymarszczenie, tworzące rodzaj wałka, z przodu znajduje się węzeł z aksamitu, z którego wychyla się bogata egreta z czaplich piór.



Nr 1. Suknia wizytowa.

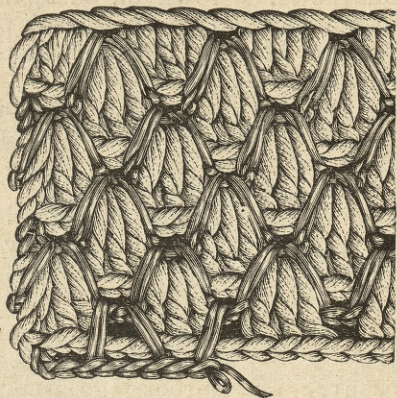
Nr 1a. Plecy dorye.1.

własną fabrykę, można więc mieć łatwy i duży wybór nieubranych fasonów, które według upodobania się przybiera.

W dopełnieniu opisywanych materyałów, widzianych w magazynie p. Ed. Makowskiego, podają jeszcze następującą notatkę z tych nowości, jakie przed kilku dniami nadeszły dopiero do składu. Są to piękne bardzo materyały jedwabne i pół-jedwabne, na strojne lub wspaniałe tualety przeznaczone.

Z pół-jedwabnych, na strojnieszkie wizytowe suknie, są fantazyjne materyały w różnych kolorach, narzucone grubszy lub cieńszymi paskami, lub grochami. Są to tkaniny zupełnie nowe i bardzo ładne.

Z wełnianych materyałów, świeżo otrzymanych, zaznaczam jeszcze bardzo ładny i modny „covert-coate,” zwany „panama,” posiadający troszkę grubszy deseń od zwykłego, angielskiego „covert-coatu,” oraz materyał także zupeł-



Nr 5. Część szydełkowej roboty do kołderki ryciny 21 w Bl. Nr 38.

nie, jako „haute nouveauté,” zwany „biarritz,” śliczny wyrób francuzki, w drobnuchne, podłużne prążki, tkanina ta zupełnie w nowym guście, u nas jeszcze nie znana.

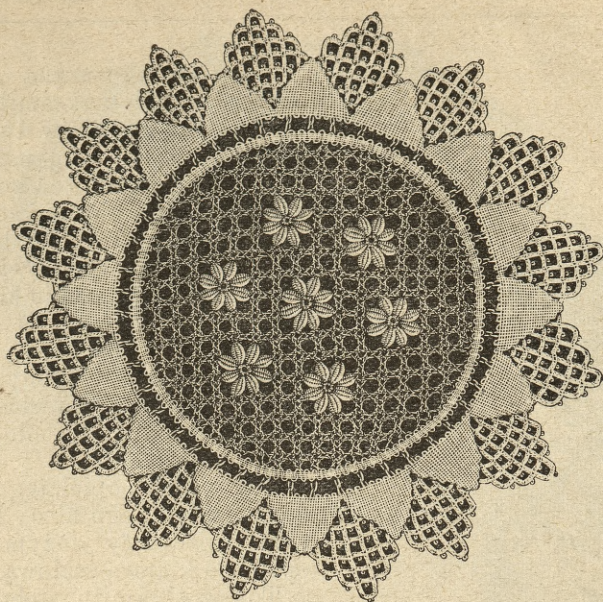
Na strojne wspaniałe tualety, najmodniejsze są prześliczne, bogate adamaszki i brokatele o pięknych, nowych deseniach, w kolorach najrozmaitszych. Te same materye używają się również na podszewki do pięknych, bogatych okryć.



Nr 8. Żakiet jesienny dla młodej osoby. (Krój odwr. str. tabl. Nr X, fig. 88—97).

Dalej idą: śliczna, zupełnie nowa materya „givrine,” w jasnych i ciemnych kolorach, „fleurs de velours” w pięknych odcieniach, „taffetas” na bluzki, w jasnych, pastelowych kolorach. Rępsy i „surah,” paskowane w wypukłe i gładkie desenie na bluzki i całe sukienki, „Satin merveilleux,” „surah croisé,” oraz milutka „bengaline soie” w jasnych, ożywych kolorach, przeważnie dla młodych osób przeznaczonych, wreszcie zawsze piękny i wspaniały „satin duchesse,” tworzący najpiękniejsze tualety, naturalnie w połączeniu koronek lub bogatego haftu, jakie widziałam w olbrzymim wyborze w magazynie p. Makowskiego.

Na ślubne stroje, najmodniejsze są białe brokatele, w piękne, wyraziste desenie: „satin duchesse,” „fleurs de velours,” „peau de nymhe,”



Nr 4. Serwetka klockową robotą. (Deseń pierwsza strona tablicy fig. 113 i 114).



Nr 7. Tiulowa bluzka. (Pleczy odwrotna strona tablicy).

„peau de soie,” oraz biała, prześliczna „moire antique.”

Czarnych, jedwabnych materyi, najpiękniejsze są piękne brokatele w nowe desenie, w węzły pasowane, „damassé,” paskowane i narzucone grochami. Z gładkich „satin duchesse” i „peau,” „de nymphe,” oraz „fleurs de velours.”



Nr 11 i 12. Staniczki, przybrane pasmanterya.

„Taffetas” i „kanausów” gładkich, jedwabnych, na bluzki, halki i podszewki przeznaczonych, jest co najmniej ze sto najrozmaitszych odcieni.

Welwety „cotelet” i aksamity gładkie i „miroiré,” tworzą zachwycające a jednocześnie praktyczne kostyummy.

Zamiast zeszlóroczaych boa, pan Makowski przywiózł z Paryża boa z piór w nowym guście i fasonie, przypominającym tak dziś powszechnie noszone na szyi zwierzątko.

Nasze pociechy mają również nie tylko swoje mody, ale i swoje, to jest im poświęcone magazyny. Jednym z nich a doskonale umiejącym się zastosować do potrzeb młodszej dziatwy i młodzieży, jest magazyn pana S. Przeździeckiego, Mazowiecka 5, gdzie właśnie widziałam wiele pięknych i stosownych modeli ubrań, sukienek, okryć i kapeluszy dziecińczych.

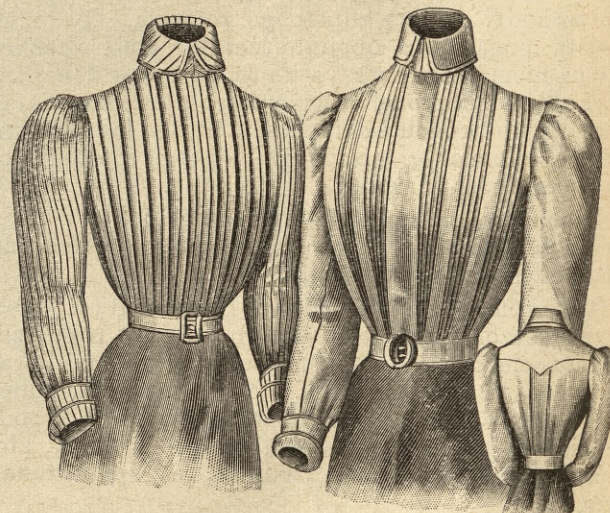
Starsze i młodsze panienki mają tego sezonu swoje ulubione kolory: „chamoie” i zielony,



Nr 6. Laufer na stół, ręcznie malowany. (Wzory pierwsza strona tablicy fig. 54 i 55).

oraz zawsze modny ponsowy, byle umiejętnie dobrany. W tych to kolorach widziałam u pana Przeździeckiego śliczne sukienki i płaszczki. Zimowe szubki dla panienek są śliczne i szczególnie jeden z fasonów bardzo mi się podobał. Jest to fason w stylu „empire,” cięty w ten sposób, że tylna fałda prześlicznie się układa i splywa rozszerzona ku dołowi.

Jako przybrania do dziecińczych czapeczek, kołnierzyków, mufek i t. p., są najwięcej uży-



Nr 9. Bluzka dla dziewczynki do ryciny Nr 35.

Nr 10. Bluzka dla dziewczynki do ryciny Nr 7 w Bl. Nr 38.

wane lisy w popielatym odcieniu, lub białe, czarne i popielate baranki. M. Ch.

Laufer na stół, ręcznie malowany.

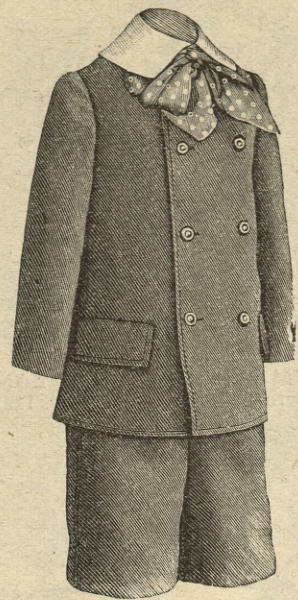
Rycina Nr 6. (Wzór pierwsza strona tablicy fig. 54 i 55).

Tło zrobione z białej, jedwabnej mory, 35 ct. długości, 21 cent. szerokości, na którym maluje się ręcznie wodnymi farbami bukietki ciemnych fiołków i gałązki z kwiatami złoto-żółtych pierwiosnków. Następnie haftuje się wokół szlak „à point lace” białą, jedwabną tasiemeczką pół cent. szerok i białym jedwabiem. Takie laufry używają się jako zakładki w salonach i gabinetach na ozdobne stoliki. Można też w ten sam sposób zrobić serwetkę do prania na tackę lub stoliczek; wtedy na tło zamiast mory

Suknia z bolerkim.

Rycina Nr 30.

Skromna i bardzo gustowna sukienka dla młodej osoby z jasno - niebieskiego kaszmiru. Spódniczka na biodrach zupełnie obcisła, poniżej faluje się swobodnie. Prządki na szwach oznaczone niebieskim, jedwabnym sznurem z pentliczkami. Staniczek jedwabny, jasno-niebieski, naszyty szafirowymi, aksamitnymi rolkami. Głęboko wycięte kaszmirowe bolerko, obszyte wokół sznurem, na lewym ramieniu lekko udrapowa-



Nr 18. Ubranie dla chłopczyka od 7—8 lat. (Kr. pier. str. t. Nr V, fig. 35—43).

ne zakończy szafirowa, aksamitna rozetka. Rękawy odpowiednio przybrane na ramionach i przy ręku materią i sznurem.

Angielska suknia i kapelusz.

Rycina Nr 14.

Obecnie najmodniejszą nowością w angielskich sukniach są staniczki z fraczkami; niniejsza rycina przedstawia taki właśnie fason sukni z szafirowego kortu. Spódniczka przybrana kortowymi pliskami, wykrojonymi podług formy w głębokie zęby, i kilkakrotnie zastębnowanymi



Nr 19. Płaszcz i kapelusz dla dziewczynki od 8—9 lat. (Krój pierw. str. tabl. Nr V, fig. 18—24).



Nr 17. Okrycie jesienne dla dziewczynki od 12—15 lat.

(Krój odwrotna strona tablicy Nr IX, fig. 79—87).

używa się cienkie, białe płótno, na którym haftuje się wskazane wzory płaskim ścięciem kolorową bawełną. Do haftowania zaś szlaku używa się płóciennej tasiemeczki pół centim. szerokiej i cienkich nici.

Tiułowa bluzka ozdobiona haftem „point-lace“

Rycina Nr 7. (Plecy odwrotna strona tablicy).

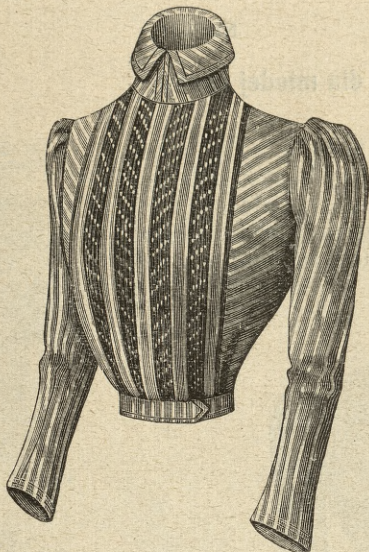
Osoba zręczna małym trudem może sobie wykonać prześliczną bluzkę do teatru, lub na koncert. Na brukselskim tiulu haftuje się złotą nitką „point lace“ przody i plecy bluzki; z tego samego tiulu szyje się całą bluzkę, na jedwabnym, kolorowym atlasie. Karczek i wysoki stojący kołnierzyk z białej „moiré velours“, zakończony białą, jedwabną riuszą. Na rękawach epoletki haftowane, zakończone riuszką, przy ręku również przybrane rękawy haftem i riuszką. Biały, morowy pasek, zapięty na boku z szeroką kokardą, zakończy bardzo gustowną bluzkę.

Staniczki, przybrane pasmanteryą.

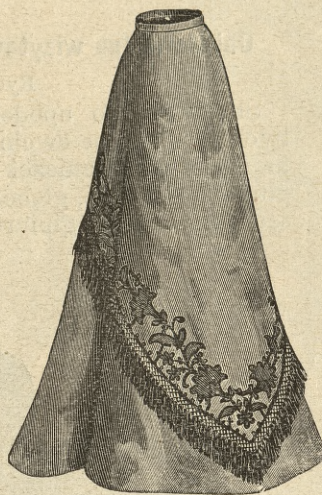
Rycina Nr 11 i 12.

Staniczek Nr 11, może być wykonany z mieniającej materii, jasnego „drap de dames“, kaszmiru i t. p. materiałów. Kamizelka marszczona z białej, jedwabnej gazy; wysoki, stojący kołnierzyk, ułożony z tejże gazy, zakończy wążiuchną riuszką. Nałożone w rodzaju figarka drugie przody z czarnej, jedwabnej pasmanterii, bogato i strojnie przyozdabiają staniczek.

Staniczek Nr 12, nieco skromniejszy, lecz również bardzo ładny, zrobiony z wełnianego materiału w kratę, u dołu objęty w szpic czarną, jedwabną wstążką. Szeroka kamizelka i wysoki, stojący kołnierzyk, umarszczony z białej, lekkiej materii w równoległe, podłużne riuszki. Przody staniczka okrągło wycięte, od ramion nałożone czarną, jedwabną pasmanteryą. Rękawy gładkie, zakończone w klapki. Całość wygląda miłuchno i bardzo niezwykajnie.



Nr 15. Bluzka trykotowa.



Nr 16. Spódniczka do bluzek



Nr 13. Suknia z bolerkim.

Nr 14. Elegancka suknia i kapelusz.

jedwabiem. Staniczek z fraczkiem, zapięty na przodzie na dwa rzędy złotych, matowych guziczków, u dołu wycięty w okrągłe zęby, obszyte zastębnowaną pliską. U góry staniczek otwiera się wykładanym kołnierzem z wylogami z ciemno-szafirowego aksamitu. Plisowana kamizelka z jasno-szafirowej materii i taki sam stojący kołnierzyk, wycięty w zęby i podłożony aksamitem. Rękawy ozdobione zastębnowaną pliską. Aksamitna kokarda zakończy staniczek. Kapelusz, zastosowany do sukni okrągły, z szafirowego aksamitu, przybrany szafirową materią; z lewego boku podpięcie z udrapowanej materii i egretka z piór, przepięta złotą, matową kłamrą, rondko kapelusza, objęta materią.

Bluzka trykotowa.

Rycina Nr 15.

Ładną i praktyczną do domowego użycia bluzkę z wełnianego trykotu w białe i lila paski, przedstawia podana rycina. Przody, wykonane w zakładeczki i wążkie kontrafałdy. Plecy obciążane, gładkie, w pasie nieco nadmarszczone. Kołnierzyk stojąco-wykładany, ozdobiony stębnowaniem. Rękawki gładkie, przy ręku dwa razy zastębnowane. W ząb wycięty i zastębnowany pasek z tego samego materiału, zakończy skromną, ale bardzo gustowną bluzkę.

Spódniczka do bluzek.

Rycina Nr 16.

Elegancka spódniczka z granatowego szewiotu, lub „drap de dames“, może być odpowiednią do różnokolorowych bluzek. Oryginalne przybranie czarną, jedwabną pasmanteryą i jedwabną, kordonkową frendzlą, imituje zupełnie rodzaj spiczastej tiuniki i bardzo spódniczkę przyozdabia.

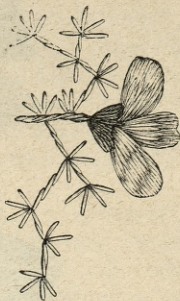
Weselne, lub wieczorowe ubranie.

Rycina Nr 33.

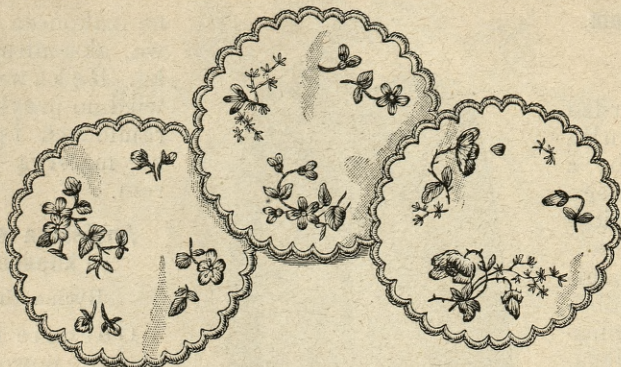
Ponsowa, atlasowa suknia, formą „princesse“, przykryta białą, jedwabną gazą, jednostajnie uplisowaną, stanowi powyższe ubranie. Spódniczka u dołu pięknie przyozdobiona haftem „à point lace“, który na przodzie wznosi się piramidalnie, prawie aż do połowy sukni, ku tyłowi zwięża się do 15 cent. szer. Odpowiednie przybranie z haftu powtarza się na staniczku, głęboko w „coeur“ wyciętym. Rękawki całe z haftu, przy ręku w ząb zaokrąglone.



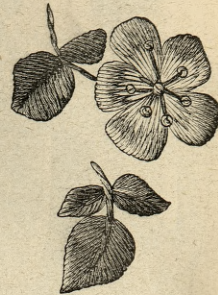
Nr 23 i 24.



Nr 26.

Nr 20 — 22. Serwetki deserowe (do rycin Nr 23—31).
(Wzór odwrotna strona tablicy fig. 112).

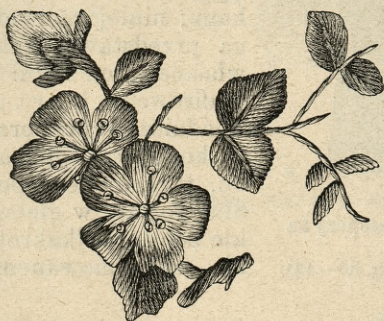
Nr 27.



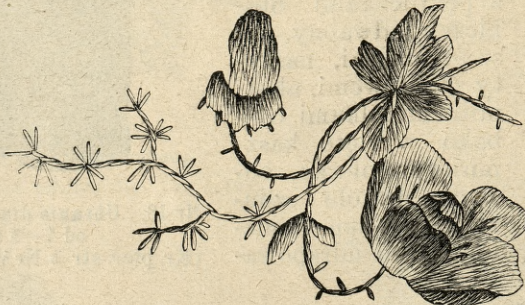
Nr 28.



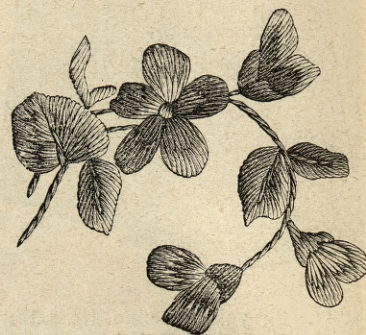
Nr 25.



Nr 30.



Nr 29.



Nr 31.

Obiadowa lub wizytowa suknia dla młodej osoby.

Rycina Nr 34.

Stosownie do upodobania, na taką suknię, może być użyta „crêpe de chine,” wełniany batyst, lub lekka materya. Staniczek bluzkowy w zakładeczki i gipsurowe wstawki, głęboko wycięty, przybrany u góry szerokim haftem gipsurowym, na lewym ramieniu spi-



Nr 33. Weselne lub wieczorowe ubranie.

Nr 32. Wizytowa suknia dla młodej osoby.
(Krój odwr. str. tabl. Nr VII, fig. 56—68).

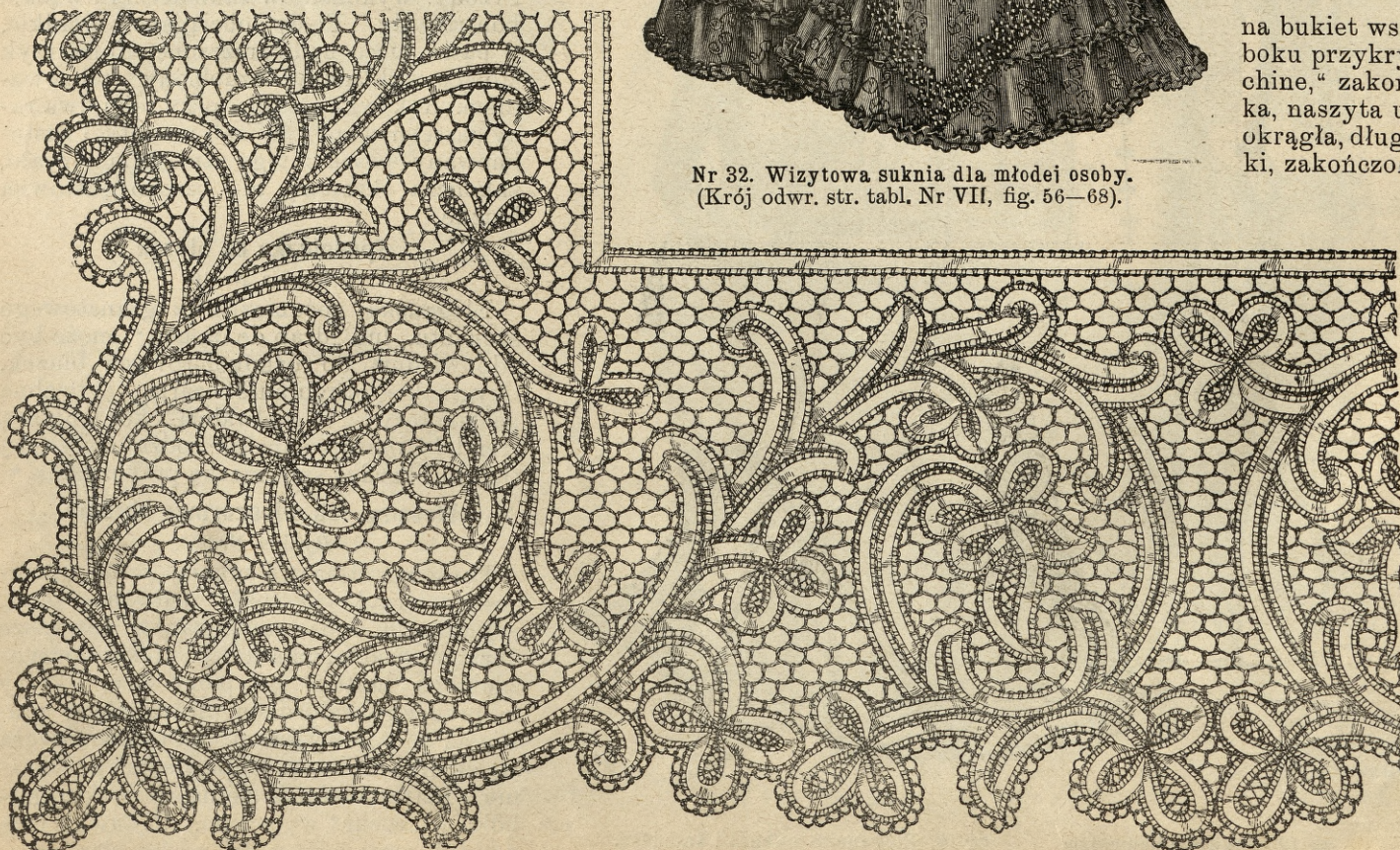
Nr 34. Obiadowa lub wizytowa suknia dla młodej osoby.

na bukiet wspaniałych storczyków; zapięcie na boku przykrywa podłużny krawacik z „crêpe de chine,” zakończony frendzlą. Spódniczka gładka, naszyta u dołu trzema falbankami. Tiunika okrągła, długa w gipsurowe wstawki i zakładeczki, zakończona zakładczkami. Rękawy z wstawek i zakładczek, na ramionach przybrane haftem, przy rękę w ząb zakończone. Spódniczka połączona ze staniczkiem paskiem z tego samego materyału. Cała suknia wykonana na jedwabnej podszewce.

Ubranko dla chłopca od 6—7 lat.

Rycina Nr 38.

Ubranko z granatowego szewiotu. Spodenki, przyszyte do staniczka z podszewki. Biała, pikowa kamizelka, ozdobiona koftwicą, wyhaftowaną niebieskim jedwabiem. Duży, marynarski kołnierz z niebieskiej piki, naszyty białymi pliskami, przyzdabia otwarty na przodzie zakieci; przody zakieci i rękawki przy rękę, zakończone metalowymi guziczkami; pasek zastępowany z tego samego materyału.

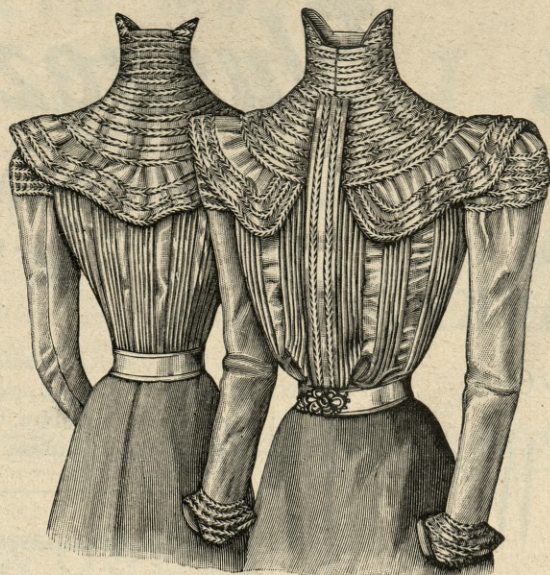


Nr 34a. Koronka z narożnikiem, robota „point-lace.”

Przepisy gospodarskie.

SZTUKA MIĘSA PO SZWAJCARSKU.

Dobrze ugotowaną, ładną sztukę mięsa, pokrajać w duże plastry i układać warstwami w rondlu, przesypując każdą warstwę tartym szwajcarskim serem, chrzanem i kilkoma łyżkami śmietany zalewając. Rondel taki, jak do zrazów nelsońskich, powinien być dobrze masłem wysmarowany i wysypany tartą bułką, chrzanem i serem. Wierzchnia warstwa ma być z chrzanu i sera dobrze śmietaną zalana. Tak przyprawioną sztukę mięsa wstawić na pół godziny do gorącego pieca i wydać z rondlem na stół. Doskonała.



Nr 59. Bluzka strojna.

Obiad na Niedzielę.

1. Barszcz czysty z pulpetami.
2. Paszteciki w muszlach.
3. Polędwica z garniturem.
4. Kapusta faszerowana.
5. Kwiczoły z borówkami.
6. Szarlotka z jabłek.

U W A G A.

Tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w dzisiejszym numerze, dołączoną była do zeszłego numeru „Bluszczu.”



Nr 35. Sukienka z zakiecikiem dla dziewczynki od 9—10 lat (do ryc. Nr 9).
Kroj pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 25—34.

Nr 36. Sukienka i kapelusz dla panienski od 16—17 lat.

Nr 37. Płaszcz i kapelusz dla dziewczynki od 2—3 lat
(Kr. odwr. str. tabl. Nr XI, fig. 98—104).

Nr 38. Ubranie dla chłopca od 6—7 lat.

Główny Skład Zakładów Żyrardowskich

w Warszawie, Krakowskie-Przedmieście Nr 55,

poleca jak zwykle na sezon jesienny i zimowy:

Flanele, Barchany, Materiały puchowe, Kołdry watawane, flanelowe i pluszowe. Wyroby pończosznicze, Płótna, Ręczniki, Chustki i Stołową bieliznę letniego bielienia.

Materyały meblowe, Dywany, Portyery, Firanki.

Gotowe wyprawy od 100 rubli.

Gotowa bielizna
damska i męzka.

Gotowa bielizna
damska i męzka.

W I N A I KONIAK „KIZLARKA“

z własnych winnic i gorzelnii

M. J. ZURABOWA

W KIZLARZE (Kaukaz).

Można dostać takowe w różnych składach Win w Warszawie i na prowincyi.

Główny Skład w Warszawie, Senatorska 27.

J. JAHÓŁKOWSKA b. naucz. II gim.

W WARSZAWIE,

Marszałkowska 143.
Pierwszorzędne biuro nauczycielskie
oraz pracy Kobiet fachowych
poleca: nauczycieli, nauczycielki, bony,
buchalterki, krojczynie, gospodynie, panny
służące.
Sprowadza cudzoziemki.

Wspólna 40,
przy Zakładzie Froebliowskim
SZKOŁA FROEBLISTEK.
Kursy dla bon i nauczycielek. na żądanie
Konwersacja francuska i niemiecka,
muzyka, nauka kroju.
Po skończeniu świadectwa, posady, lekye

A. SUSKA

na nadchodzący sezon zaopatrzyła magazyn w ostatnie modele, oraz wszelkie nowości z osobistych zakupów w Paryżu. Poleca również woalki i boa po cenach przystępnych.

Wierzbowa 6, Hotel Angielski.

REKA WICZKI

Znane ze swej dobroci w dużym wyborze sezonowym
poleca

BADOWSKI.

Trebacka № 2.
(Stara poczta).

Trebacka № 2.
(Stara poczta).

SZKOŁA KROJU STEFANJI KUNCZYŃSKIEJ

połączona ze znaną pracownią ubiorów damskich „PELAGII“.
Zórawia № 1.

za pomocą przystępnych w 4-ch językach wykładów wyucza w bardzo krótkim czasie kroju i szycia. Dla uczennic z prowincyi znajduje się na miejscu pomieszczenie z fortepianem, ze staranną opieką domową.

Najdawniejsze biuro pedagogiczne
rekomenduje, nauczycielki, wychowawczynie, korepetytorów, freblówki, i bony.

Niecała 10, MAREK.

Pierwszorzędne Kaucjonowane
BIURO NAUCZYCIELSKIE
F. SIKORSKIEJ,

w Warszawie, Niecała Nr 12 parter.
Upoważnione przez władzę na Cesarstwo i Królestwo. Ma do umieszczenia nauczycieli, nauczycielki i bony.

KAUCJONOWANE
BIURO NAUCZYCIELSKIE
Z. JASIŃSKIEJ

ul. Włodzimierska 19 w Warszawie.
Rekomenduje Nauczycielki, Guwernantki, Bony różnych narodowości i stopni wykształcenia. Na żądanie sprowadza wprost z zagranicy Guwernantki i Bony.

Pracownia Kołder watawych Maryi Pomorskiej

Warszawa, Marszałkowska 144,
Wejście z Rysiej.

Poleca koldry gotowe i przyjmuje zamówienia tak z swoich jak powierzonych materiałów w monogramami lub bez, po cenach przystępnych.

Kaucjonowane
BIURO NAUCZYCIELSKIE
rekomendacji pracy kobiet inteligentnych

WYSZKOWSKIEJ

Warecka Nr. 15,

poleca nauczycielki, bony, buchalterki, kassjerki oraz panie uzdolnione w różnorodnym zakresie zajęć kobiecych.

PIERWSZORZĘDNE
BIURO NAUCZYCIELSKIE

Antoniny Piaseckiej

POLECA

Nauczycieli, Nauczycielki i Bony,
SPROWADZA CUDZOZIEMKI.
Krakowskie Przedmieście Nr. 38,
wprost placu Saskiego.

PIERWSZA SZKOŁA KROJU i SZYCIA M^{me} MERCÈRE

Nowy Świat Nr. 42.

Kursy wyższe i niższe system łatwy org. Paryski, zdejmowanie fasonów bez rysowania form. Warunki przystępne. Wykład w 4-ch językach. Po ukończeniu uczennice otrzymują patenty z Cechu. Dla przyjezdnych Pensjonat z konwersacją francuską, niemiecką i fortepianem. Przy szkole oddzielne kursy kroju bielizny i haftów.

MAGAZYN MÓD

„ZOFIA“

Niecała Nr. 11,

zaopatrzwszy swój Magazyn na sezon obecny w modele z pierwszorzędnych domów Paryskich, poleca takowe w wielkim wyborze.

TOMASZ ZANIEWICKI

W WARSZAWIE,

ulica Nowy-Świat Nr. 22. Telefonu Nr. 1389.

Specjalny Skład win Krymskich i Kaukaskich

poleca wina naturalne, nabywane osobiście na miejscu u producentów, a wytrzymywane we własnych piwnicach: czerwone od 40 kop. a białe wytrawne i słodkie od 35 kop. za butelkę do najwyższych gatunków ze szczepów zagranicznych.

Sprzedaż hurtowa i detaliczna.

Cenniki wysyła się na żądanie franco i gratis.

P. S. Wina moje można dostać w wielu handlach win w Warszawie i na prowincyi.

FABRYKA POŃCZOCH I TRYKOTAŻY. Z. MENTZEL.

Ś-to Krzyska Nr. 9.

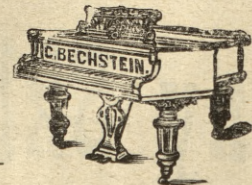
Ma zaszczyt zawiadomić PP. Odbiorców, że na sezon obecny zaopatrzony został skład w wielki wybór, najświeższych i najlepszych towarów zagranicznych i własnych wyrobów jako to:

Pończoch i Skarpetek czarnych fantazyjnych bez szwu, oraz Szkoekich.
Pończoszek z potrójnymi kolankami bardzo trwałych.
Pończoszek i Skarpeteczek w kratę szkoekich najmłodniejszych.
Bluzek i Pasków damskich.
Spódnicek i Halek jedwabnych, wełnianych i kretonowych.
Koszulek wełnianych, bawełnianych, fil de cosse i jedwabnych.
Koszulek siatkowych Hygienicznych.
Kalesonów trykotowych we wszelkich gatunkach.
Spodni do konnej jazdy.
Rękawiczek letnich damskich, męskich i dzieciennych oraz dla Służby.
Gorsetów w najlepszych fasonach, Leniuszków, Gorseików dzieciennych i higienicznych na włosiu.
Chustek Angielskich płóciennych, webowych i batystowych.
Oraz kompletnych Garniturów dla P.P. Cyklistów.

NAJWIĘKSZE w KRAJU Składy Fortepianów,

PIANIN

WYNAJEM.



i Melodykonów

Sprzedaż na rozpl. mies.
począwszy od 25 rubli.

Illustrowane katalogi na żądanie
gratis i franco.

HERMAN & GROSSMAN

Warszawa, Mazowiecka Nr. 16.
St.-Petersburg. Moskwa. Lublin.

MAGAZYN MÓD E. L O T H

Saski plac Nr. 5,

zaopatrzone zostały w piękne modele kapeluszy, pierwszorzędných domów par-
ryzkich, poleca również kapelusze filcowe własnego wyrobu z ubraniem i bez
ubrania oraz kwiaty i pióra.

Kapelusze przyjmują się do przefasonowania.

WELNY Mundurkowe po 45, 55, 65, 70, 90, 1.00, 1.25 i wyżej.	Wielki wybór NOWOŚCI Krajowych i Zagranicznych do najwykwintniejszych.	WELNY kolorowe od 25 k. do 3 rb.
FLANELE czyst. weł. od 35 k. do 1.50.	OTRZYMAŁ Magazyn Bławatny STEFANA ŻŁOTNICKIEGO WARSZAWA, 64—Krakowskie-Przedmieście—64 w gmachu Resursy Obywatelskiej —● Kontentuje się najmniejszym zyskiem. ●—	CHUSTKI wełniane, czar e i kolorowe.
KANAUSY. Fulary. JEDWABIE na bluzki.	POKRYCIA na futra 2 1/2 ł. szer. od 75 k. do 3 rb.	SZEWIOTY, SYBERYNY, Korty na żakiety.
Wielny BALOWE od 30 kop.	BAJE wełniane na halki 2 1/2 szer.	PLUSZE. Aksamity. VELWETY.
	NIEBYWAŁY WYBÓR WELN CZARNYCH Krajowych i Zagranicznych	ALPAGI na suknie od 35 k. do 2 rb.
		MORY wełniane na halki od 35 kop

ŻĄDAJCIE!!!

Cognac „Impérial”

dla smakoszy i rekonwalescentów, **lepszy** niż zagraniczny gdyż prawdziwy produkt z wina
tańszy gdyż nie ciąży wysokie cło, sprzedaż we wszystkich handlach win i towarów
kolonialnych. Żądajcie Cognac «IMPERIAL» jedynie prawdziwy z globusem!!



MAGAZYN MÓD I PRACOWNIE SUKIEN
J. KRÓLIKOWSKIEJ

ulica Niecała № 7 i Marszałkowska 114.

Polecają najnowsze fasony sukien i kapeluszy na każdy sezon, po cenach umiar-
kowanych.



RÓZANE

Mydło Kryształowe

Wysoka zawartość gliceryny
oszczędność w użyciu, obfitość piany a delikatny
i przyjemny zapach róż, wyrobiły dla tego mydła
powszechne uznanie.

Dostać można we wszyst-
kich perfumerjach i składach
aptecznych.

**MAGAZYN POGRZEBOWY
S. FIJAŁKOWSKIEJ,**

Senatorska 26, (wprost kościoła św. Antoniego).

Trumny metalowe, drewniane, wysła za zaliczeniem kolejowem. **Wień-
ce** metalowe, zasuszone z szarfami i bez, pochodnie.

100 Kapeluszy z woalami od rs. 4.
Suknie żałobne, ubiory pośmiertne.

Geny bardzo niskie.

Lyzki, Noże, Widelce

POTRÓJNIE PLATEROWANE
najtaniej poleca fabryka

T. GROSZKOWSKIEGO

ulica Graniczna Nr. 8.

Wyprawy platerowane od rub. 5.

S. Gąsiorowski

Nowy-Świat 11.

Ample weneckie.

Abazury jedwabne i bibuł-
kowe.

Szkló angielskie oryginalne.

„Primrose“.

„Flint“.

Wazony i Casch-pôty majo-
likowe.

Figury i biusty terrakotowe.

Bronzy.

